Dzisiejszy numer zawiera 10 stron

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

OSTATNIE WIADOMOŚCI KRAKOWSKIE

Prenumerata miesięczna zł. 1·95 z odbiorem w administracji

10 gr.

Rok V. Kraków, środa 25 grudnia 1935 r. Nr. 358

Wesołych Świąt!



Piękny przykład polskiego malarstwa religijnego — środkowa część tryptyku z kościołą w Bodzentynie. Nieznany malarz szkoły krakowskiej. Rok 1520.

Jesteśmy zawsze z Wami — i w złej i dobrej chwili! Jesteśmy, gdy radość powszechna rozpiera piersi, i wtedy — a to jest najczęściej, niestety — gdy dzień szary troskami ciąży ku ziemi. Jesteśmy zawsze!

Wspólnota nasza ma już za sobą niemal siedmioletnią tradycję. Poznaliśmy się dobrze i dobrze nam ze sobą. Z tej właśnie wspólnoty wynikało przeświadczenie — z kół czytelniczych dotarło ono do nas — że stanowimy wielką Rodzinę Czytelniczą, która darzy się miłością, szacunkiem i zaufaniem.

I poco przypominać fakty tak dobrze wszystkim znane, gdy wystarczy od serca złożyć życzenia, okraszone odwiecznem zawołaniem: „Wesołych Świąt!"... A jednak trzeba!

Trzeba, bo przeżywamy czasy tak niezwykłe, lata mkną, jak dni, a przecie jeden dzień niespokojny starczy za dziesiątki lat błogich i cichych. Jakiś huragan szaleje nad światem i wszystkie złe moce rozpętał! Jakaś zawierucha miałkim pyłem sypie nam w oczy i potępieńczym jazgotem napełnia uszy, że nie widać ani przed sobą, ani za sobą, nie słychać nic, coby wśród burzy nieciło nadzieję...

Więc trzeba wspomnieć naszą wspólnotę, by życzenie „Wesołych Świąt" nie zabrzmiało, jak urągowisko choć przecie z serca wyszło, lecz przed sobą znalazło odmęty farby drukarskiej i jakże obojętne płachty papieru...

Święta, u wrót których dziś stajemy, są świętami miłości. Uczucie to, a jest ono największym skarbem świata, co się ani w złoto nie przetopi, ani złotem go nie kupisz — splata rodziny i całe społeczeństwa łączy w potężną całość.

Miłość zwołuje nas do stołów wigilijnych i najpiękniejszemi darzy nastrojami. Mają one tę przecudowną moc, że dzień burzliwy potrafią rozsłonecznić, zmarszczki wygładzić na czole. Ciężar przestaje przygniatać i wesoło robi się na duszy.

Święta te — to święta rodziny. Pozwólcie więc, Najmilsi, że w tej właśnie chwili, gdy się cieszyć będziecie miłością, przypomnimy Wam Rodzinę Czytelniczą. Wielką, po całej Polsce rozsiadłą, a także wśród obcych, za rubieżami Rzplitej tułającą się. I ona bierze udział w dzisiejszem święcie.

Skoro jesteśmy łącznikami między Wami, posłuchajcie, co Wam od serca, a przez nasze usta chce powiedzieć, by tę wspólnotę pogłębić.

Niech jej słowa dotrą do wszystkich! I niewątpliwie dotrą! Inaczej być nie może! Niech zawędrują do izb robotniczych, warsztatów rzemieślniczych, do chat wieśniaczych, do pokojów zamożnych — wszędzie! Niech przemówią do tych, co zasiądą przy sutym stole, i do tych, którym chleb powszedni będzie świątecznem daniem. Co radować będą oczy choinką i co to drzewko podglądać będą przez okno, gdy rozjarzy się od świeczek — u obcych...

Takie jest prawo naszej Rodziny Czytelniczej!

Niech temi słowami, które nas wszystkich zespolą, będzie nadzieja — nadzieja, że będzie lepiej! Że może już jutro odrodzi się świat, zrzuci z siebie podłe brzemię kryzysu, zmobilizuje bezrobocie do pracy i wszystkim nam pozwoli cieszyć się największym darem — życiem!

Długie miesiące udręk odzwyczajały nas od nadziei — lecz powiedzcie: Co nam zostanie, gdy stracimy nadzieję?! Nie trzeba dziś o tem myśleć! Wierzymy, że będzie lepiej i tę wiarę oddajemy dziś Wam w świątecznym upominku. Z wiarą i nadzieją imieniem całej Rodziny Czytelniczej życzymy Wam

WESOŁYCH ŚWIĄT!

Jeśli wiary Wam zabraknie, gdy nadzieja ucieknie za siódmą górę i siódmą rzekę, zawrócimy ją z drogi utysiącznionem sercem Rodziny Czytelniczej.

Jesteśmy zawsze z Wami — i w złej i dobrej chwili! W takiej właśnie chwili, którą los nas obdarza, przyjmijcie również od całej Redakcji życzenia najserdeczniejsze

WESOŁYCH ŚWIĄT!

Nasze dwie pamiętne Wigilje

W stolicy świata i chacie łowickiego gospodarza

Wigilję r. 1913 spędzaliśmy w cudownych nastrojach w Paryżu. Naprzód zebraliśmy się w kilkunastu — wszyscy należeliśmy do Filarecji i do Związku Walki Czynnej — w oddzielnej sali pewnej małej restauracyjki na bulwarze St. Germain, gdzie przy skromnie nakrytych stołach przełamaliśmy się opłatkiem, a potem wyszliśmy na ulicę szaleć, jak co roku szaleje cały Paryż w noc Noelu. Wszyscy byliśmy młodzi i z ufnością i wiarą patrzyliśmy w przyszłość. Gdy przy opłatku składaliśmy sobie życzenia, by jak najprędzej stanąć w szeregu i chwycić za broń w walce o wolność Polski, może nikt z nas nie zdawał sobie w rzeczy wistości sprawy, że życzenia nasze już bardzo szybko się urzeczywistnią. Nikt z nas o tem nie myślał, że w tem gronie, w którem zebraliśmy się tego wieczora, nie zbierzemy się już nigdy i że była to na szereg lat ostatnia nasza wigilja w Paryżu.

Walka o wolność Polski zaczęła się jednak dla mnie i dla kilku moich przyjaciół, jak wogóle dla wieluset tysięcy Polaków, w sposób nad wyraz bolesny: w obcym mundurze i pod obcym sztandarem. Ja i dwóch kolegów z Paryża po serdecznem pożegnaniu, gdyś my się rozjeżdżali na wakacje, spotkaliśmy się znowu w 7-mym pomorskim pułku pruskich grenadjerów. Pułk ten uznany był za jeden z najlepszych w całej armji, brał przeto udział we wszystkich najcięższych bojach pierwsze go okresu wojny, naprzód we Francji, a potem przeniesiony do Królestwa, w wielkich i krwawych bitwach pod Łodzią i Łowiczem.

Jakże inaczej wyglądała wojna powszechna, o którą modliliśmy się w Księgach Piegrzymstwa i Narodu Polskiego Mickiewicza, niż nasze marzenia, jakże daleko odbiegła od nich rzeczywistość. Pruska potęga oszałamiała nas, triumfalny jej pochód od zwycięstwa do zwycięstwa, przedstawiał nam ją, jaką siłę złą, ale której nikt i nic się nie oprze. Przygnębienie nas ogarniało, gdyśmy o tem szeptali, bo przecież dobrze rozumieliśmy, że pokój, podyktowany przez zwycięską pruską potęgę, nie będzie zbawieniem dla Polski. W dodatku, gdyśmy walczyli na froncie francuskim, choć nadsłuchiwaliśmy, jak najpilniej, nie mieliśmy żadnych politycznych wieści z kraju, a szczególnie żadnych wiadomości o Komendancie Piłsudskim i o Legjonach, o których wiedzieliśmy, że miały powstać i pójść w bój pod przewodem Polskiego Orła. Dopiero podczas bitwy pod Łowiczem dowiedzieliśmy się, że są i walczą — ale nic poza tem.

Walki pod Łowiczem i Łodzią zakończyły się jakoś na krótko przed Bożem Narodzeniem 1914 r. Nasz pułk roz kwaterował się na odpoczynek w księżackiej wiosce, któ rej nazwy już nie pamiętam. W dobrych grenadjerskich pułkach pruskich był naogół duży procent Polaków, ale w naszej kompanji służyło nas tylko trzech, kolegów z Paryża. Postanowiliśmy wieczór wigilijny spędzić razem, naco łatwo uzyskaliśmy pozwolenie władz przełożonych, ponieważ wigilja i u Niemców jest wieczorem bardzo uroczystym.

Gospodyni chaty, w której kwaterowałem, gdy się dowiedziała, że gościć będzie samych Polaków, zaprosiła nas z całą serdecznością do wspólnego stołu. Wojna jeszcze nie wyczerpała wówczas zasobów ludności, więc wszystkiego było wbród. Stół nakryto tradycyjnie. Pod obrusem wyłożono go sianem, a w kącie izby ustawiono snop zboża, symbol przyszłych urodzajów, w drugim kącie my, żołnierze, przystroiliśmy choinkę.

Już gwiazda pierwsza zabłysła na niebie i właśnie mieliśmy zasiadać do stołu, gdy w drzwiach stanął nieznany nam gość w nieznanym mundurze. Ale coś swojskiego biło od całej postaci nieznajomego, szczególnie swojski wydał nam się krój czapki, bo była to przecież maciejówka. Milczeliśmy, niewiadomo dlaczego, długą chwilę wszyscy, gdy nieznajomy ku największemu memu zdumieniu wymienił moje nazwisko.

Kilka szybko wymienionych słów wyjaśniło wszystko. Przed nami prawdziwy, autentyczny legun z Pierwszej Brygady i przynosił nam wieści o tej Polsce, która rodziła się w boju i krwi w naj cięższych warunkach. Ściskaliśmy go i całowaliśmy z rzewnym płaczem. Jakież uspokojenie i wielka ulga spadła na nas. Ale nasz gość nie przyjechał do nas tylko łamać się opłatkiem. Przyjechał założyć komórkę P. O. W.

I gdy tego wieczora łamaliśmy się opłatkiem, wiedzieliśmy już na pewno, że Polska będzie wolna i niepodległa. Zmora potęgi pruskiej, która nas dotąd gniotła tak strasznie, odpadła od nas jak lekkie piórka, zdmuchnięte wiatrem. Wiele jeszcze ciężkich chwil przyszło nam przeżyć i przetrzymać, ale już nigdy ani na chwilę nie zachwiała się w nas pewność ostatecznego zwycięstwa.

DOBRA MAŁŻONKA.



— *Mąż pani jest bardzo ciężko chory. Musi się pani przygotować na wszystko?*

— *Dobrze, panie doktorze. Zamiast błękitnej sukienki obstaluję sobie wieczorową z czarnej tafty.*

Józef Pluskowski

W wigilijny wieczór

W wielu domach choinka płonie i płoną oczy dziatwy, czar tradycji unosi się wokół, plączą się dźwięczne tony pol skiej kolendy, budzą mimowoli jakąś nieokreśloną tęsknotę za czemś lepszem, piękniejszem, niż codzienne, szare życie, budzą oczekiwania czegoś, co przyjdzie, bo przyjść musi.

Jak od wieków, płynie radosna nowina poprzez polskie miasta i sioła, idzie przez cały świat, wypogadza twarze znękane i smutne, otuchę wlewa w wątpiących: CHRYSTUS SIĘ PRZECIEŻ RODZI.

Wśród nędzarzy, pasterzy, najemników, w odludnej szopie, na skraju wsi położonej, rodzi się TEN, który bogaczy potępia, handlarzy, kupczących w kościele przepędza, wiedzie za sobą uczniów swoich, wydziedziczonych i pokrzywdzonych oraz szerokie rzesze ludu. Ku innej krainie, osnutej tajemnicą i czarem przyszłego SZCZĘŚCIA ich prowadzi.

Bóg się rodzi! Bóg nędzarzy, Bóg wydziedziczonych, Bóg proletarjatu!

— Trudno w pieniądzach ufnym, wejść do królestwa Bożego — mówi Chrystus. — Łatwiej jest wielbłądowi wnijść przez ucho igielne, niźli bogaczowi wnijść do królestwa Bożego — naucza dalej rzesze ludu i tę samą naukę każe uczniom swoim nieść światu, mówiąc: — Idąc tedy, nauczajcie wszystkie narody. — Chciwość odwieczną bogaczy, do dziś trwającą, potępia.

*

Rozśpiewa się kolenda. Od izb piwnicznych, do poddaszy robotniczych — będzie płynęło od strzechy do strzechy — „Bóg się rodzi, moc truchleje". W ręku ukaże się starodawnym zwyczajem opłatek biały. Łamać go będą ręce spracowane w pracy i trudzie z tymi, którzy dopiero żyć rozpoczynają. A w czasie tego MISTERJUM usta radością czy boleścią spowite, snuć będą życzenia serdeczne, na kanwie marzeń tkane. Na nowe życie, na nowy byt rzucą pragnienia gorące, w uścisk słoneczny splecione. Rozpominając minione, odarte dawno z barwnych szat, będą chciały dać życie nowe, nowym złudzeniom, będą chciały rzucić na pobojowisko nieziszczonych nadziei pewność, że jed nak z nadzieją i wbrew nadziei, należy WIERZYĆ.

Gdzie spojrzymy przed siebie lub poza siebie, wzdłuż i wszerz polskiej ziemi — wydziedziczonych tyle, głodnych, zziębniętych i utrudzonych życiem tyle. A jednak tu zrodzi się NOWE ŻYCIE.

Ale zanim radość do wszystkich dotrze, wszędzie widać je no krzyże życiowe, jeno bóle, cierpienia i głosy buntu słychać. Rodzi się proletarjacka kolenda, jak ongiś na polu bitew rodziła się polska kolenda żołnierska. Śpiewali żołnierze: „Zbawiciel przyszedł w okopy, więc Go zaprośmy na nasze snopy, niech z Nim po krwawej pracy kolendują wojacy... Wolności otwórz bramy, niech Polskę odzyskamy... Gdzież jest dla Ciebie bieluchny opłatek? — niech go zastąpi chleb żołnierski czarny... Zamiast słów wiele, słysz krzyk mocarny... niezłomnie wytrwamy, aż Bóg otworzy nam — Wolności bramy"...

Jeszcze niema kolendy proletarjackiej. I pod obuchem kryzysu nie wszyscy zdążyli i nie wszyscy mogą ująć w dło nie ów biały płat chleba pszenicznego, symbol wyzwolenia i radosnej Nowiny. I nie wszyscy gotowi śpiewać pieśń nowego życia. Jeszcze niema tej pieśni! Ale będzie. Już się rodzi, powstaje z mocy DUCHA, w nadziei JUTRA, wiary w PRZYSZŁOŚĆ. Ze starych przewin, trudów i skarg, cier pień i zgrzytów, wstaje i targa łańcuchy. Będzie zwiastowaniem wschodzących zórz, idącego Świtu. Już się rodzi zwycięska kolenda — pieśń. A za pieśnią pójdzie ofiarny, mocarny CZYN.

*

Już z chaty do chaty, z izby do izby, z warsztatu do warsztatu, rzucane są WICI. Czuj duch! Sposobić się już czas! Dobra Nowina się rodzi! Czuj duch! Budzić śpiących! „Hej, czy Wy śpicie, czy nic nie słyszycie?" Czuj duch! Żelaznej woli przyszłość bierze dziejowy młot. I uderza w dzwon! Wstańcie, radosna czeka Was wieść: W sercach i duszach narodził się Bóg! Rodzi się Nowe Życie!

Jeszcze niedawno niewiadomo było, czy zrodzi się świt, który przyniesie rozwiązanie powikłań, bo z otchłani kryzysu nie było widać nawet przebłysków Słońca. A możni tego świata wierzyli w niewzruszone podstawy starych form, prawowiernie trzy mając się starego testamentu, nie chcąc słyszeć głosu, z nieg o płynącego, o przyjściu Nowiny na świat, o tem że zrodzi się Nowe Życie.

A dziś wszystko jedno, czy fala kryzysu przepływa, lub odpływa, wiecej, czy mniej barzliwie uderza, już wszystkim jest wiadome, że niema powrotu do starych form kup czącego świata, że rodzą się nowe formy życia współczesnego, że świat przebuduje swój strój. Od Atlantyku po Ural i od Uralu po Atlantyk — wszędzie uginają się ludy pod ciężarem bożka okrutnego — kryzysu. Nie uzdrowi go recepta, mikstura nie pomoże. Gdy walą się zręby, podpory nie udźwigną ciężaru. Trzeba przebudować walący się gmach, bacząc jednak pilnie, aby przy przebudowie nie pogrzebał wszystkich i wszystkiego.

Próżna jest praca nad mnożeniem bogactw, gdy mają siłę żyć wyróżnionym, próżne są marzenia, że wyróżnieni mogą wiecznie korzystać z bogactw, nagromadzonych przez krzywdę, przez trud i krew wydziedziczonych, odsuniętych od dobrodziejstw kultury. Nie można wiecznie opierać rządów gospodarczych na poniewierce człowieka pracy, bo, gdy nadejdzie dzień dziejowej sprawiedliwości, wstanie On, aby podjąć trud pokoleń w pracy dla siebie, a nie dla garstki wyzyskiwaczy.

Więc, gdy łamać będziecie płat biały, w swych sercach wzniećcie gorące pragnienie, aby z trudem wstało Szczęście. Głodni i zziębnięci, miejcie wiarę w przyszłość. Wznieście serca wgórę, bezrobotni. Rozchmurzcie czoła, zgnębieni. Rodzi się radosne Jutro.

Niech w sercach i duszach słońce wzejdzie. Niech tam, gdzie zgasło, rozniecí się płomieniem i niech serce żarem ogarnie. Niech boje o Nowe Życie będą prawe i żyzne, bohaterskie i święte.

Niech wszyscy, którzy idą do nowego życia, pomną na tych, którzy walczyli i wierzyli. Wierzyli z nadzieją i wbrew nadziei.

Opłatek biały weźmiecie w swe dłonie, symbol czystych uczuć i pragnień Nowego Życia. I popłynie kolenda: „Bóg się rodzi, moc truchleje".

Oby niedługo przyszedł dzień, gdy zła moc struchleje, a Moc dusz i serc zrodzi Szczęście.

Napoleon Sądek

Wigilja pana Agapita

Przy zbiegu ulic Różanej i Kamiennej miał narożny „Handel win i towarów kolonjalnych" Agapit Pestka.

Na tym samym rogu, obok sklepu, urzędował zwykle 15-letni sprzedawca gazet, Tadek Sikorka.

Na przeciwnym zaś rogu był postój dorożek, na którym często czekał na pasażerów dorożkarz, Wojciech Sypała.

Wszyscy trzej znali się z widzenia.

I nie lubili się.

Tadek miał żal do właściciela sklepu, że prenumerował gazety, a u niego nic nie kupował.

A pana Agapita denerwował ochrypnięty głos chłopca, który pod samym sklepem na całe gardło wykrzykiwał tytuły gazet.

Dorożkarz, pan Wojciech, nie czuł sympatji ani do kupca, ani do gazeciarza.

Kupiec bowiem nigdy nie jeździł dorożką, chociaż stale stała przed sklepem, a Tadek jeździł za często, czepiając się jej ztyłu. I nieraz Wojciech zdzielił go batem po łydkach.

Nie lubili się więc wszyscy trzej.

Pan Agapit mawiał o Tadku: „Ten łobuziak znów się wydziera!"

Tadek zaś o nim nie mówił inaczej, jak „stary kutwa", a na dorożkarza krzyczał zwykle: „Sałata! Dzieliworek".

*

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Na wystawie pana Agapita Pestki zjawiła się wielka reklamowa choinka z elektryczną iluminacją.

W sklepie panował duży ruch przedświąteczny i pan Agapit, zapracowany, pochłonięty interesem, nie słyszał zupełnie ochrypniętego głosu Tadka.

Dorożkarz Wojciech też znikł ze swego rogu, od rana bowiem do nocy rozwoził choinki i obładowanych paczkami pasażerów.

Tylko Tadkowi interes nic, a nic się nie poprawił. Kręcił się na tym samym rogu i takim samym głosem wywoływał tytuły gazet.

*

Nadszedł wreszcie wieczór wigilijny.

Ostatni klienci opuścili sklep pana Agapita. Dwaj subjekci złożyli szybko szefowi życzenia Wesołych Świąt i pobiegli do swych rodzin.

Pan Agapit został sam.

Obliczył kasę... Obrót tego dnia był bardzo duży. Pan Pestka dobrze zarobił tego dnia.

Ułożył banknoty w paczki, zgasił światło w sklepie, przeszedł do swego mieszkania za sklepem i, zmęczony całodzienną pracą, opadł na fotel.

*

Okno mieszkania pana Agapita wychodziło na podwórze.

Pan Agapit siedział w fotelu, wpatrzony w okno. Widział ruch w oknach sąsiednich mieszkań. Widział, jak zamigotały zapalone na choinkach świeczki. Słyszał śmiechy, radosne okrzyki.

Wszędzie panowała radość.

A pan Agapit?..

Był sam. Zupełnie sam...

Pan Agapit był starym kawalerem. Krewnych bliskich nie miał, dalekich nie znał.

Znajomi — owszem, byli. Dostawcy, stali klienci, kupcy konkurenci...

Ale takiej istoty, któraby dziś, w wieczór wigilijny, podeszła do pana Agapita i ucałowała go serdecznie — takiej istoty nie było.

I właściciel „Handlu win i towarów kolonjalnych" poczuł się bardzo biedny i bardzo samotny.

W mieszkaniu wydało mu się straszliwie pusto i zimno. Zerwał się z fotela.

Nie! Nie wytrzymam tu przez dzisiejszy wieczór. Uciekać stąd! Uciekać jak najdalej.

Nałożył szybko palto, kapelusz, wymknął się z mieszkania do bramy, a stamtąd na ulicę.

*

Ale dokąd iść?

Ulice puste. Lokale publiczne zamknięte... Wszyscy siedzą dziś w gronie rodzinnem, w gronie przyjaciół, przy wieczerzy wigilijnej...

Błąkał się ulicami bez celu. I sam nie spostrzegł w jaki sposób znalazł się znów koło swego sklepu.

Nagle drogę zastąpiła mu jakaś drobna postać. Usłyszał znajomy, ochrypnięty głos Tadka:

— Kup pan gazetkę. Świąteczny numer.

Tadek, poznawszy pana Agapita, skrzywił się niechętnie.

— Aa... To pan Pestka...

I odwrócił się na pięcie. Ale pan Agapit przytrzymał go za rękę.

— Czekaj! Nie odchodź jeszcze.

— Czego? — mruknął gniewnie Tadek.

— Nie odchodź... Daj gazetę... Kupię.

I szukając drobnych w kieszeni, pan Agapit spytał, jakby odniechcenia:

— A dlaczego do domu na wilję nie pójdziesz?

Tadek spochmurniał.

— Nie mam nikogo...

— Sam jesteś?!

— Sam!...

Pan Agapit poczuł, że fala wzruszenia napływa mu do serca.

Znalazł towarzysza niedoli! Znalazł takiego, jak on samotnego biedaka.

— Drogi chłopcze... — zwrócił się nieśmiało do Tadka. — Możebyśmy razem... tego... spędzili ten wieczór. Wina... widzisz, u mnie nie brak. Ryby też są... I ciasto się znajdzie... Tak samemu.. to mi się nie chciało... Ale we dwóch...

Tadek patrzał na „pana kupca" z rogu szeroko rozwartemi oczami... Wzruszył ramionami na znak, że nic nie rozumie i wszedł za panem Agapitem do bramy.

*

Pan Agapit, pomimo swoich 45 lat, krzątał się po sklepie i mieszkaniu, jak młody chłopiec.

Choinka z wystawy, jaskrawo oświetlona elektrycznemi lampkami, stanęła na stołku w pokoju za sklepem.

Obok na stole zjawiły się ryby wędzone, marynowane, śledzie, sardynki i inne przysmaki ze sklepu pana Agapita, które miały zastąpić tradycyjne potrawy wigilijne.

Zdumiony Tadek patrzał na te cuda, a pan Agapit otworzył butelkę wina i postawił ją również na stole.

— No! — powiedział wesoło. — Czas, Tadziu, zaczynać. Złamiemy opłatek.

(Opłatek wydostał od dozorcy).

Podzielili się opłatkiem, ucałowali się z dubeltówki i zasiedli do uczty.

Tadek bardzo szybko oswoił się z sytuacją. Jadł z apetytem, a po kilku kieliszkach czuł się już zupełnie swobodnie.

— Wiesz pan co? — mówił z uśmiechem. — Myślałem, że pan jest swołocz. A pan jest porządny chłop. Prawdziwy przyjaciel.

Pan Agapit zaśmiał się serdecznie...

— He, he!... Wiesz co, Tadziu?... He, he... Tego... naturalnie.. na stałe... to nie wypada... Ale przez dzisiejszy wieczór.... możesz do mnie mówić „ty"... He, he!... Żebyśmy jak prawdziwi przyjaciele...

*

Gdy pan Agapit otworzył drugą butelkę, Tadek, który się już rozgrzał na dobre, nagle sobie coś przypomniał.

— Pestka! Wiesz, co ci powiem? — zwrócił się do pana Agapita. — Jeszcze jednego trza do nas zaprosić.

— Kogo?

— Na drugim rogu stoi dryndziarz, Wojciech. Taki sam samotniak, jak my. Też nie ma w domu z kiem opłatkiem się podzielić. Jak myślisz, stary? Poprosić go?

— Chyba! Proś!

— Dobra! Skiknę po niego. Bo chociaż mam z nim na pieńku, ale w dzisiejszy wieczór każda uraza odpada.

*

W niektórych oknach już gasły światła, pogaszono już świeczki na choinkach, ale w pokoju za sklepem pana Agapita Pestki rozlegał się wciąż donośny tercet, śpiewający kolendy.

Zachrypnięty dyszkant Tadka zagłuszał bas dorożkarza Wojciecha i baryton właściciela „Składu win i towarów kolonjalnych", Agapita Pestki.

A po kolendzie cała trójka ucałowała się raz jeszcze.

Pan Agapit wszedł do sklepu i wyniósł stamtąd dwie duże paczki smakołyków.

— To dla was gwiazdka, drodzy przyjaciele. To dla Wojciecha, a to dla Tadka.

Wojciech ze wzruszenia pociągnął nosem.

— I ja mam dla was gwiazdkę — mruknął. — Dryndą was na pasterkę za darmochę odwiozę.

Tadek podniósł się z krzesła, wytarł zamaszyście nos i oświadczył:

— Ja tam też wtyle nie zostanę. I ode mnie gwiazdka musi być.

Wyjął z kieszeni kilka egzemplarzy gazet.

— Proszę! Cztery nomera mi zostały. Mata, chłopaki, gazetki gratis. Po dwie sztuki na ryło.



U ks. ks. Misjonarzy w Warszawie w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia rozdawano żywność biednym. Taką scenę z 1850 roku przedstawia reprodukowany obraz Piwarskiego.

Nie tak to dawniej, mospanie, bywało!

Hojną ręką obdarzał pan marszałek Kazanowski

Dobry stary polski zwyczaj obdarzania się podarkami na Boże Narodzenie dziś zanikł, wobec ciężkich czasów, albo przybrał rozmiary raczej symboliczne. Jakiś kwiatek — jeśli koniecznie wypada — czekoladki (jeśli cię poproszą na wilję), a mężowi lub żonie — coś praktycznego. Niech będzie przyjemne z pożytecznem. Dzieci tylko obdarzą się zawsze w miarę możności, bo to przecież największa przyjemność — patrzeć na prawdziwą, bezpośrednią, niekłamaną radość dziecka.

Ale nasi przodkowie mogli sobie nato pozwolić i lista podarków w domach magnackich wygląda wcale pokaźnie Oto, jak opisuje Łukasz Gołębiowski spis upominków, przeznaczonych przez Marszałka Kazanowskiego dla dworzan na Nowy Rok 1683:

„Panu Koniuszemu koń siwo-jabłkowy, z rzędem srebrnym i kutaskami jedwabnemi; Panu sekretarzowi Jasińskiemu kiereja altembasowa z rysiami i klamrą srebrną; Panu sekretarzowi Kulczyckiemu kiereja z popielicami; Panu inspektorowi pacholików pas z zapinką i kanakiem; Panu inspektorowi Domu żupan adamaszkowy, item kołpak soboli; Panu Piwniczemu czapka z sobolami. Każdemu z pacholików nowy żupan według nowego kroju i po 8 złp., każdemu ze starszych służebnych po złp. 7, każdemu ze średnich po 6, każdemu z młodszych po 3, każdy ciura weźmie 2 złp., każdy popychacz złp. 1. Ichmość PP. Rotmistrze wezmą po szabli roboty Andrzeja ze Starego Miasta, inni PP. towarzysze starsi wybiorą, jak im się podoba, po parze pistoletów z mego arsenaliku, młodzi zaś po szabli roboty Jonsona z Podwala. Jeśli który z młodszych towarzyszów nie ma teraz konia, to mu wolno wybrać z trzeciej mojej stajni. Ksiądz kapelan weźmie z moich antyków, co mu się upodoba, a kaznodzieja pierścień z wizerunkiem Pana Miłościwego; gwardjan zaś bernardyński, nasz spowiednik, asygnację na 20 wozów zboża. Szpitalowi na Mostowej ulicy daję asygnację na tyleż wozów. Szpitalowi Św. Ducha na wozów 10. Moi przyboczni wezmą po 20 złp., a kto by został pominion, niech śmiało przyjdzie do mnie, przypomni, a będzie obdarzon".

Trzeba przyznać, że lista podarków jest obfita, a ułożenie jej, tak, żeby wszyscy byli zadowoleni i nikt się nie obraził, też musiało być nielatwe, zważywszy na subtelne odcienie służbowe. Bo mógłby się przecież ciura obrazić, gdyby zrównano go z popychaczem.

W każdym razie — przyjemnie byłoby dziś dostać konia z rzędem srebrnym — i tak dalej...

SYLWESTER KORBIN

Orzechy

Wieszałbym ci na mej chojnie
Malowane cacka w kratki,
Lecz komornik wtargnął zbrojnie
I zajął je za podatki...

Posłałbym ci, chociaż zdali,
Jakieś perły, jakieś kwiaty,
Lecz w dekrecie zakazali
Zakupywać nam na raty...

Przyjąłbym cię przy mym stole,
Zastawionym suto, hojnie,
Lecz ty wolisz — i ja wolę —
Zamiast kraść, żyć spokojnie!...

Ale nie płacz, biedne ciało,
Przyjmij kilka słów pociechy,
Wszak nam jedno pozostało:
— Coraz nowe gryźć... orzechy!...

OBŁĘDNA MIŁOŚĆ

STRESZCZENIE.

Hrabia Kazimierz Forowski, właściciel pięknego zamku na Kresach Wschodnich, potomek możnego [illegible] magnackiego, ożenił się z czarująco uroczą Gruzinką Mirą. Podczas wielkiego balu, jaki się odbył zaraz po ślubie, hr. Stefan Wandycz założył się z trzema kolegami, że w ciągu 24 godziu zdobędzie młodą hrabinę.

Nazajutrz z rana hrabia Kazimierz wyjechał na polowanie. Po kilku godzinach hrabina Mira otrzymała wiadomość, że jej mężowi przytrafił się jakiś wypadek. Wzywano ją do natychmiastowego przybycia. Hrabina Mira mknęła z przerażeniem do męża, gdy wreszcie goniec wskazał jej jakąś lepiankę ukrytą w lesie. Weszła tam, lecz ku swemu zdumieniu nie zastała w niej męża. Znalazł się natomiast jakiś zamaskowany osobnik, który na wszystkie jej pytania odpowiedział milczeniem, a wkońcu rzucił się na nią.

Hrabia Kazimierz wrócił z polowania. Cała służba była zdziwiona, że przyjechał zdrów i cały, on zaś był niemal przerażony, widząc, że żony niema w domu. Gdy dowiedział się o wszystkiem, natychmiast pomknął na poszukiwania żony. Odnalazł lepiankę i z przerażeniem stwierdził, że jego żona padła ofiarą brutalnego gwałtu.

Hrabia Wandycz, sprawca ohydnego gwałtu, szybko pożałował swego czynu, bo jak się okazało, zakochał się w swej ofierze hrabinie Mirze. Jedynego świadka — gońca — wyprawił do Warszawy, zobowiązując go, aby nigdy tu więcej nie wracał.

Punktualnie o dziesiątej zgłosili się do hr. Wandycza jego trzej przyjaciele z zapytaniem o wynik zakładu. Odparł, że przegrał, wypłacił umowioną sumę, nie chciał wszakże pojechać z nimi do Warszawy, pojechali więc sami. Potem powrócili na wieś i po kilku dniach znów się spotkali w wileńskim klubie karcianym.

Wtem podszedł do rozmawiających ich znajomy i oświadczył, że właśnie wszedł do klubu Kazimierz hr. Forowski.

Okazało się, że hr. Forowski szuka zapomnienia w hazardzie, ale daremnie. Żonie nietylko nie darował winy, ale nawet jeszcze bardziej rozwścieczył się na nią, dowiedziawszy się, że zaszła w ciążę i to niewątpliwie naskutek dokonanego na niej gwałtu.

Pewnego dnia koń hr. Kazimierza rozbrykał się. Ujrzawszy to przypadkowo hr. Wandycz, skoczył i zatrzymał konia, ratując tem życie Forowskiemu. Zato został zaproszony na zamek i od owej chwili bywał tam często, spędzając wiele chwil sam na sam z Mirą. Zaofiarował jej swą przyjaźń bezgraniczną. Przyznał się do winy. Błagał o przebaczenie i uzyskał je. Tymczasem urodził jej się syn. Mąż porwał dziecko matce i zabronił nawet mówić o niem. Wobec tego Mira zawezwała Wandycza, prosząc go, by zechciał dopomóc jej w odnalezieniu syna.

Tymczasem, hr. Forowski powziął podejrzenie, że hr. Wandycz jest sprawcą ohydnego gwałtu. Hr. Wandycz przyznał się. Odbył się między nimi amerykański pojedynek. Hr. Forowski został przy życiu, a hr. Wandycz wypił truciznę i zniknął bez śladu. Hrabina Mira zapadła na zapalenie mózgu i dopiero po wielu miesiącach wyzdrowiała.

Natychmiast potem rozpoczęła poszukiwania swego dziecka. Mąż przyznał się, że podrzucił je pod murami kościoła Matki Boskiej Ostrobramskiej w Wilnie. Okazało się, że zaopiekował się niem zakrystjan tego kościoła Lerek, ale oddał potem komuś, kto się podał za ojca dziecka. Hrabina Mira wróciła do domu.

Poszukiwała jeszcze syna ale bezskutecznie. Odebrał go zaś faktycznie ojciec — hr. Wandycz, który, jak się okazało, nie zginął od trucizny — wywiózł syna zagranicę, a przywiózł [illegible] Warszawy docierała nawałnica sowiecka. Obaj postanowili wstąpić ochotniczo do wojska. Teraz dopiero syn Wandycza — Henryk — zapytał ojca o swe pochodzenie. Ojciec odrzekł mu tylko, że jest dzieckiem zbrodni, resztę zaś uparcie zatajał. Henryk był tem bardzo zgnębiony, nie mając odwagi pytać o szczegóły.

Hrabiostwo Forowscy zamieszkali w Warszawie, gdzie po dwuch latach urodził im się syn Stanisław. Hrabina Mira została siostrą miłosierdzia w lazarecie, do którego przywieziono ciężko rannego na froncie Henryka. Zaopiekowała się nim ze szczególną troskliwością i w dużej mierze przyczyniła się do uratowania mu życia, nie wiedząc, że szeregowiec-ochotnik Henryk Gerowicz, to jej syn.

I nie dowiedziała się, bo po skończonej wojnie Gerowicze znów wyjechali z kraju, udając się do Ameryki. Na okręcie Henryk zakochał się w pięknej Milusi, córce nauczyciela gimnazjalnego z Warszawy, który padł podczas obrony stolicy. Chciał się jej oświadczyć, ale postanowił przedtem wyjaśnić wreszcie swoje pochodzenie.

Ponieważ ojciec nie udzielił mu tych wyjaśnień, oświadczył Mili, że z bólem serca musi się z nią rozstać. Tymczasem w Ameryce matka Mili umarła. Mila była bez pracy i została kochanką pewnego Polaka amerykańskiego, który ją przywiózł do Polski i tu porzucił. W tym samym czasie Henryk także przyjechał do Warszawy i ujrzał Milę w loży teatru Narodowego. Pobiegł do niej do loży. Przyznała mu się, że jest na utrzymaniu u pewnego bogatego pana, który wnet tu przyjdzie.

Tym panem okazał się Stanisław hr. Forowski, syn hrabiny Miry. Doszło do spotkania między Henrykiem a Stanisławem, który spoliczkował Henryka. Ten wyzwał go na pojedynek. Henryk przekonał się po wymianie biletów wizytowych, kto to jest. Przyznał się ojcu. Ten postanowił do pojedynku nie dopuścić. Henryk domyślił się, że jego ojca musiało coś łączyć z Mirą.

Ojciec ukrył to wszakże przed Henrykiem. Aby nie dopuścić do pojedynku, powiedział całą prawdę Mirze, a następnie jej synowi, którego poprosił, aby wszystko powtórzył Henrykowi, bo jemu samemu wstyd byłoby. Tak się też stało.

Hr. Wandycz i jego syn Henryk wyjechali z Warszawy. Hrabia Stanisław zaś postanowił ożenić się z Milą. Oświadczył jej się. Powiedziała, że go nie kocha, ale może wyjść za niego. Stanisław chciał jeszcze uzyskać pozwolenie ojca.

Nie otrzymał go. Przeciwnie, ojciec zagroził mu, że cofnie dopływ pieniędzy. Nie zraziło to Stanisława. Znalazł pracę, Mila też i postanowili się pobrać. Odbył się wreszcie cichy ślub Mili ze St. hr. Forowskim. Od owego dnia oboje zamieszkali w ich nowem skromnem mieszkaniu na kolonji Staszyca.

Jak się nietrudno domyśleć, noc poślubna nie różniła się dla Mili i Stasia od innych....

I znów pomyślała sobie Mila, że inaczej, jakże inaczej wyobrażała sobie niegdyś swoją noc poślubną!...

Jeszcze jako młode dziewczątko, niezdające sobie sprawy z tego, co właściwie wtedy następuje, przeczuwała w tem jakąś słodką, rozkoszną, upojną tajemnicę, coś zakazanego, a jednak dozwolonego... coś grzesznego, a niebiańskiego...

Było jej trochę przykro, że została przedwcześnie odarta ze wszystkich złudzeń i, co gorsza, że u łoża jej pierwszych dreszczów zmysłowych nie świeciła aureola miłości, wszystko uszlachetniającej, opromieniającej, rozgrzeszającej...

Ale nazajutrz znów była już trzeźwa i zabrała się do pracy...

Stanisław także poszedł i wrócił dopiero w porze obiadowej.

Mila zabrała ze sobą na nowe mieszkanie swoją poprzednią kucharkę, która, zresztą, musiała teraz być „do wszystkiego", gdyż obecna ich sytuacja materjalna nie pozwalała im już na dwoje służby.

Podczas obiadu wypłynęła kwestja zawiadomienia rodziców Stanisława o ślubie.

Mila już nawet nie powtarzała swego dawnego planu, aby ukrywać przed rodzicami Stanisława ich ślub na dłuższą metę.

Stanisław zaś chciał być wobec rodziców jak najbardziej uczciwy. Skoro ojciec go uprzedził, że nie będzie mu pomagał pieniężnie po ślubie, nie chciał więc nadużywać jego dobroci.

Tylko... że w ostatniej chwili zbrakło mu odwagi powiedzieć ojcu o tem wszystkiem... W ostatniej chwili uradzili więc napisać...

Już list był napisany, już miał być wysłany, gdy przed samem wysłaniem Stanisław jednak zawahał się. Powiedział:

— Nie... To jednak będzie zbyt brzydkie. Trudno. Nie będę tchórzem. Pójdę i powiem wszystko sam... osobiście...

— Jak uważasz — rzekła Mila — myślałam, że napisać będzie łatwiej i... spokojniej. Ale nie chcę decydować w sprawie twego stosunku do rodziców. Przyznam ci się, zresztą, że ja na twojem miejscu z pewnością postąpiłabym tak samo...

Wobec tego, umocniony, w swem przekonaniu, Stanisław udał się do pałacu swych rodziców.

Zastał ich oboje... Byli niemało zdumieni jego nagłym uroczystym tonem.

Bez długich wstępów Stanisław rzekł:

— Ożeniłem się...

Hrabina Mira drgnęła i... słowa uwięzły jej w gardle...

Hrabia Kazimierz zmarszczył brwi i po chwili rzekł:

— Wiesz chyba, jakie to pociąga za sobą skutki dla ciebie...

— Wiem... — odparł głucho.

— I cóż? — zapytał ojciec, dysząc ciężko.

— Jestem nato przygotowany.

— Niby... jak... mam to rozumieć?

— Dosłownie. Nigdybym się nie ożenił, nie mając możności utrzymania żony.

— Może zechcesz tłumaczyć się wyraźniej?..

— Pracuję... i moja żona także...

Z niemałem zdumieniem zapytał hrabia Kazimierz.

— A można wiedzieć, co też państwo robią?

— Ja daję lekcje języków, a moja żona jest agentką. Sprzedaje radja, froterki, maszyny do pisania....

— I zarabiacie oboje tyle, że możecie się utrzymać?

— Powtarzam, że w innym wypadku nie ożeniłbym się...

— I... mieszkanie także macie?

— Tak jest. Skromne, trzypokojowe, na kolonji Staszyca...

— Dzisiejsza młodzież... — rzekł hrabia Kazimierz, zwracając się do żony — i co ty nato powiesz Mirusiu?

Hrabina Mira ledwo zdołała opanować wzruszenie. Rzekła tylko:

— Przykro, że nas na ślub nie zaprosiłeś...

— Bałem się... Bardzo was przepraszam...

— Czego się mogłeś obawiać?

— Myślałem, że może w ostatniej chwili mi... przeszkodzicie...

— Skądże, Stasieńku?

— Miałem prawo tak przypuszczać po ostatniej rozmowie z ojcem.

— Jedno z drugiem nie ma nic wspólnego...

— Rozumiem teraz. Nie wiedziałem poprzednio. Bardzo was oboje przepraszam, że nie mogę chwilowo dłużej zostać, ale jestem dziś człowiekm pracy. Więc...

Kłamał. W tej chwili miał jeszcze czas. Ale ta rozmowa stawała się dlań z minuty na minutę bardziej drażniąca. Dodał więc tylko:

— Może ojciec się nie trudnić dalszem utrzymywaniem mnie. Chciałbym tylko wiedzieć, czy... będę mógł od czasu do czasu odwiedzać rodziców?

Hrabina Mira spojrzała na męża. On zaś po chwili wahania rzekł:

— Oczywiście...

— A... moja... żona?... — zapytał nagle, rumieniąc się...

Dalszy ciąg po świętach.

DANIEL BACHRACH

Śladami przestępców

Z pamiętników b. aspiranta Warszawskiego Urzędu Śledczego

Przez lekkomyślność do zbrodni

I.

Za czasów okupacji policja kryminalna zawiadomiona została przez komisarjat milicji miejskiej o nagłym zgonie znanego na bruku warszawskim dostawcy wojskowego.

Z polecenia mego przełożonego udałem się wraz z kolegą do mieszkania zmarłego. Nieboszczyk zajmował wraz z żoną luksusowy apartament w okolicy Alei Ujazdowskich. Na miejscu zastaliśmy doktora domowego, który po zbadaniu zwłok, stwierdził zgon wskutek anewryzmu serca.

Nieboszczyk był mężczyzną lat około 65-ciu, wysokiego wzrostu i okazałej tuszy. Wobec stwierdzenia przez lekarza naturalnej śmierci, nie pozostało nam nic innego do roboty, jak spisać raport i oddalić się. Dziwne jakieś przeczucie kazało mi zbadać jednak dokładniej, nie bacząc na orzeczenie lekarskie, przyczynę śmierci. Nie byłem wprawdzie do tego upoważniony i narażałem się na nieprzyjemności, mimo to postanowiłem porozmawiać z wdową po zmarłym. Zwróciłem się do pokojówki z prośbą, by zawiadomiła swą panią, że chciałbym z nią pomówić.

Pozostawiła nas w saloniku i odeszła, by zawiadomić swą panią. Cierpliwość nasza wystawiona była na ciężką próbę, gdyż dopiero po upływie prawie pół godziny do saloniku weszła wdowa po panu R.

Ujrzawszy ją, oniemiałem. Była to kobieta lat około dwudziestu trzech, niepospolitej urody. Poprosiła nas o zajęcie miejsca.

— Czem mogę panom służyć? — zapytała cichym głosem.

Obserwując ją niepostrzeżenie, nie zauważyłem na jej twarzy śladów łez, bądź smutku, aczkolwiek usiłowała grać rolę zrozpaczonej wdowy. Nie dziwiłem się wprawdzie, że nie jest zbyt zmartwiona zgonem małżonka, gdyż trudno było uwierzyć, ze względu na różnicę wieku, by było to małżeństwo z miłości.

— Bardzo przepraszam szanowną panią, że pozwoliłem sobie w takiej chwili ją niepokoić; chciałbym jednak jej zadać kilka pytań.

Zauważyłem zaniepokojenie na jej twarzy, natychmiast jednak zapanowała nad sobą i odpowiedziała:

— Wprawdzie wydaje mi się dziwne pańskie żądanie, jednakże gotowa jestem zadośćuczynić mu, a zatem słucham pana.

— Czy nieboszczyk chorował na serce i czy leczył się na chorobę sercową?

— Mąż mói uskarżał się na chorobę sercową i nalegałam na niego, by się leczył. Czy to jednak uczynił, tego panu powiedzieć nie mogę. Mąż mój był po całych dniach poza domem i prawie nigdy go nie widywałam, przytem bardzo często wyjeżdżał z Warszawy interesownie.

— Czy zechce mi pani powiedzieć, jak długo byli państwo poślubieni?

Spojrzała na mnie zimno i odpowiedziała:

— Czy uważa pan, że śmierć mego męża ma jakiś związek z datą naszego ślubu? Pytanie pańskie uważam conajmniej za niedyskretne. Zechce mi pan powiedzieć, na jakiej zasadzie mnie pan tu prosił i dokąd prowadzą pańskie pytania? Czy wątpi pan, że mąż mój zmarł śmiercią naturalną? A może pan przypuszcza, że to ja przyczyniłam się do jego nagłego zgonu?

O ile przeczucie moje nie myliło mnie, miałem przed sobą dzielną przeciwniczkę, która jednakże popełniła wielki błąd, sama nasuwając takie przypuszczenia.

— Wybaczy pani, że ją niepokoiłem, spełniłem jednak tylko swój obowiązek. W wypadku nagłego zgonu policja obowiązana jest zbadać przyczyny śmierci.

— Wobec tego jednak, że lekarz stwierdził już tę przyczynę, uważam troskliwość panów za zbędną i dziś jeszcze porozumiem się z moim adwokatem w tej sprawie. Przypuszczam, że nie ma pan więcej pytań, — dodała, powstając z miejsca i dając mi tem samem do zrozumienia, że uważa rozmowę naszą za zakończoną.

Dalszy ciąg po świętach.

Bronisław Jezierski

Gdy pierwsza gwiazda zabłyśnie na niebie

„Bóg się rodzi, moc truchleje..."

Rozbrzmiewają dźwięki najstarszej kolendy, najstarszej pieśni wigilijnej i mieszają się z trzaskiem zielonych igiel choinkowych, lizanych płomyczkami świec kolorowych.

Ulica dudni jeszcze rozgwarem, spóźniony kolejarz powrócił dopiero z drogi i w ostatniej chwili nie zapomina o choince dla swych maleństw; dźwiga na plecach drzewko rozłożyste, śniegiem stajałym przybrane.

* * *

Krok za krokiem wolno, uroczyście, zbliża się dziatwa robotnicza do roziskrzonej choinki, upstrzonej dziesiątkami kolorowych świecidełek za trzymuje się na kilka kroków przed Bożem drzewkiem, jakby wahała się zbliżyć, jakby nie śmiała zetknąć się z symbolem Chrystusowego Narodzenia...

W ciszy Świętej Nocy przemawiają tylko serca...

Łamany z nabożeństwem opłatek i trzask ognia świeczek choinkowych stwarzają nadziemską jakąś harmonję, poprzedzającą z głębi serc płynące słowa —

„Żebyśmy w zdrowiu i szczęściu na przyszły rok mogli opłatkiem się podzielić..."

W powietrzu unosi się aromat siana rozłożonego pod obrusem, dziwnie jakoś wdziera się do gardła, na chwilę tamuje oddech i wyciska do oczu łzy, które niewiadomo, dlaczego napełniają serce nieznanem, przedziwnem uczuciem radości...

Dla mamy ciepłe rękawiczki, dla ojca krawat nowiutki czerwonemi kropkami upstrzony, dla małej Heni lalka z zamykanemi oczami w pięknem krakowskiem ubranku dla Janka koń bułany, na kółeczkach posuwany, śliczny koń za cztery złote...

* * *

„Bóg się rodzi, moc truchleje..."

Płynie przez ciężkie bogate firanki z samych koronek uszyte, radosny dźwięk starej, jak świat, znanej kolendy... Wielkiej pieśni wigilijnej...

Choinka jest do samego sufitu. Piękna, bogata, samym śniegiem i srebrnemi nićmi przybrana. Dzieci są ubrane odświętnie, w pięknych aksamitnych ubrankach... Zresztą, to dla nich nie nowość. Zawsze są ładnie ubrane... I zawsze mogą otrzymywać piękne zabawki...

Tylko ta choinka niezawsze się pali. I niezawsze mamusia przy dzieciach całuje mocno tatusia i życzy mu dużo, dużo szczęścia...

* * *

Są jednak miejsca, gdzie nie ma choinek, są jednak miejsca, w których nie rozlegają się dźwięki starej, jak świat, kolendy, pięknej pieśni wigilijnej: „Bóg się rodzi, moc truchleje..."

Na skrzyżowaniach ulic stoi sam posterunkowy. Patrzy, wypatruje, pojazdów jest niewiele, przejeżdżają od czasu do czasu tylko. Najczęściej jednak przelatuje czerwona karetka pogotowia... I tam nie ma choinki i tam niema kolend i tam niema wigilji. Na straży ludzkiego mienia stoją i życia ludzkiego bronią.

Cicho się robi, spokojnie, dźwięki kolend rozbrzmiewają coraz rzadziej, w oknach powoli zalega zmrok, małe dzieciny kładą się do czysto zasłanych łóżeczek i w trwodze wielkiej wypatrują, czy Pan Jezus przyjdzie położyć się na sianku... Nie śpią. Starają się nie spać.

Cicho jest, miasto zdało się już zasnąć upojone uroczystemi przeżyciami, tylko z przepełnionych świątyń rwie się nowy modlitewny śpiew —

„Bóg się rodzi, moc truchleje"...

Dzieje upojnej, lecz tragicznej miłości

Z mgły zapomnienia wracają na stół sędziowski

Wczoraj Sąd Okręgowy rozpoznawał sprawę o zabójstwo, popełnione jeszcze przed 15 laty. O sprawie tej już niemal zapomniano. Prok. Rettinger, który przed 15 laty sporządził akt oskarżenia zmarł niedawno na stanowisku notarjusza.

Ponieważ sprawca zabójstwa ukrywał się i nie było żadnych wskazań nato, aby można go było odszukać. zniszczono już nawet znajdujące się przy sprawie dowody rzeczowe.

Wznowienie postępowania zawdzięcza się jedynie przypadkowi. Oto w zapadłej wsi — w głębi lasu — mieszkał niejaki Józef Momot, którego wezwano do sądu grodzkiego w charakterze świadka w sprawie zupełnie błahej. Momot do sądu nie stawił się. Sędzia przeto wydał polecenie spraw dzenia adresu Momota. Kiedy policja się tem zajęła, okazało się, że za Momotem rozpisano jeszcze w 1921 r. listy gończe. Policja przeto zatrzymała Momota i sprowadziła do Warszawy. Odszukano w archiwum stare akta i sprawa wpłynęła na wokandę.

Momot, zresztą żonaty, poznał młodszą znacznie od siebie pannę Janinę Wójcikiewicz. Zapłonął ku niej szaloną miłością. Pragnął zerwać łączące go węzły małżeńskie i poślubić ukochaną. **Rozpoczął** nawet w konsystorzu starania. Tymczasem Wójcikiewiczówna odpłacała się mu miłością dziewczęcia, w której drodze po raz pierwszy stanął mężczyzna.

ŹRÓDŁO UPOJNEJ MIŁOŚCI

To oszołomienie trwało jednak przez krótki czas, bo oto młoda p. Janka poznała mężczyznę w swym wieku — kowalskiego, który również zakochał się bez pamięci w bardzo przystojnej pannie.

Momot, dowiedziawszy się o tem, że spotkał rywala, czynił swej przyjaciółce wyrzuty, które ona jednak przyjmowała bez żadnego przejęcia się.

W dniu 11 grudnia 1920 r. spotkał Wójcikiewiczównę wraz ze swym rywalem na ulicy Emilji Plater. W czasie rozmowy Kowalski rzucił w twarz Momotowi, że Janina należy do niego.

Opanowany zazdrością, Momot dobył rewolweru i 3 celnemi strzałami w głowę pozbawił życia swą przyjaciółkę. Usiłował następnie popełnić samobójstwo, został jednak uratowany.

DWIE WAŻNE DATY 11 GRUDNIA

W toku śledztwa Momot został zwolniony za kaucją. Ponieważ to był okres inflacji, złożona pierwotnie dość wysoka kwota szybko zmalała. Momot na rozprawę nie stawił się. Wyjechał na prowincję, gdzie przebywał do dni ostatnich.

Zbadani wczoraj świadkowie, z trudem przypominali sobie zdarzenia, które działy się jeszcze przed 15 laty.

Obrońca osk. Momota, który pędził przykładne życie w ciągu tego okresu czasu, wnosił o umorzenie postępowania, wobec przedawnienia wyroku wania. Jeśli bowiem idzie o zabójstwo, dokonane pod wpływem silnego wzruszenia, przedawnienie wyrokowania następuje po 15 latach.

Ponieważ Momot czynu swego dokonał w dniu 11 grudnia 1920 r., mógłby być sądzony za to przestępstwo najpóźniej w dniu 11 grudnia tego roku.

Sąd wobec przedawnienia wyroku, sprawę postanowił umorzyć. Tak więc 12 dni uratowało Momota od kary więzienia.

Na poczcie wielkie porządki

a panienka z okienka darzy ludzi uśmiechem

Na Poczcie Głównej w Warszawie zaszły ostatnio widoczne zmiany i — co każdego musi zdziwić przyjemnie — zmiany na lepsze.

Ludzie są zajęci swojemi sprawami, swoją niedolą redukcyjną, a, jak to bywa w grudniu, kłopotami świątecznemi i nadziejami, więc tego nie zauważyli. A przecież fakt jest faktem, że urzędowa panienka i pan z okienka na Pl. Napoleona, nietylko nie gniewają się na publiczość, ale wychylają się ze swych okienek, dopytują, czego nam trzeba, służą radą, ułatwiają. Przytem poczta pootwierała wiele nowych okienek i podzieliła wielką salę, jakby na trzy główne działy: w części środkowej sprzedają znaczki i przyjmują listy, w lewem skrzydle wypłacają, a w prawem przyjmują pieniądze do przesłania.

PAN POD SZKLANYM KLOSZEM I PODZIAŁ ALFABETYCZNY

Po środku sali, czego dotąd nie było, a co jest bardzo pożyteczne, siedzi w szklanym kiosku pan i udziela informacyj, ma wagę, co jest też pożyteczne, zwłaszcza u nas, gdzie taryfę pocztową zmienia się, aż nazbyt często. Waga, to dobra rzecz na poczcie: zagranicą wszystkie poczty ustawiają takie wagi dla publiczności. Życzyćby sobie tylko należało, aby dostęp do tej wagi był łatwiejszy, bo wtedy urzędnik z pod klosza nie byłby tak rozrywany. Rozumiemy jednak że Poczta nie mogła zrobić inaczej, bo waga jest starego typu: z odważnikami mosiężnemi, a stąd obawy słuszne, że... odważniejszy interesant mógłby odważniki schować do kieszeni.

Pomyślano tu również i o emerytach którym odkomenderowano kilka okienek z podziałem na litery alfabetu, a więc: są okienka od „A" do „K"; od „L" do „R" i od „S" do „Z".

POCZTA DLA ZAKOCHANYCH

Zauważyliśmy, że daleko sprawniej, niż to było poprzednio, działa okienko „Poste Restante", głównie oblegane przez zakochanych i podróżujących. Musieli w tem okienku coś wewnętrznie poprawić, bo odszukiwanie listów odbywa się niemal z szybkością fali radjowej. Poprostu: wcale się nie czeka.

Poprawa jest również w dziale wydawania listów wartościowych — prywatnych. Pamiętam, że dawniej wydawano je do 3-ej po południu, a dzisiaj list taki odebrać można w ciągu 12 godzin — od 8-ej rano do 8-ej wieczorem.

Służba publiczna i dobrze zrozumiany

INTERES HANDLOWY

Poczta podkreśla w ten sposób, że zdaje sobie dobrze sprawę ze swych obowiązków instytucji użyteczności publicznej. Ale niemniej poczta jest przedsiębiorstwem handlowem, które musi reklamować swoje usługi i towar. W obu wypadkach znakomicie orjentują publiczność reklamy, napisy i objaśnienia, wymalowane piórkiem i tuszem przez jakiegoś pocztowego grafika. Wyrugowały one z wielkim pożytkiem i estetyką dawne gryzmoły, kartki popisane często ołówkiem lub wypełnione maszynowem pismem, które światło zjadło było doszczętnie, a został tylko atramentowy podpis pana naczelnika i numer „kawałka". Dziś, zamiast tych „objawień" dla publiczności, widzimy barwne obrazy, tablice z taryfami, a nawet mapę Polski.

Pies-lowelas romansował po całym świecie

Po latach wrócił do pana z dzieckiem miłości

W tych dniach w Lizbonie wszystkie statki, stojące w porcie, opuściły flagi do pół masztu. Ten wyraz żałoby nie dotyczył żadnego wybitnego wilka morskiego, a poprostu psa.

„Terry", lubiany przez żeglarzy wszystkich narodowości, wyzionął ducha. Terry był dużym psem nowofundlandzkim. Wspaniały okaz swej rasy. Jego żółta szerść przypominała grzywę lwa, tylko pierś pokrywała śnieżna biel. Jego panem był stary marynarz, kapitan Jonatan Bancroft z Galveston (Texas). Bancroft jest właścicielem, a zarazem kapitanem starego żaglowca towarowego o pojemności 2000 ton. Jego żaglowiec „Windward" przez cały rok odwiedza porty kuli ziemskiej.

Przed 14 laty „Windward" zawinął do portu w Szanghaju, gdzie miał pozostawić ładunek maszyn do szycia. Kapitan zeszedł na ląd i udał się do knajpy portowej, by nieco pogawędzić z kolegami przy lampce wina. Na ulicy spotkał pewnego żołnierza angielskiego, niosącego na ręku małego pieska. Pies tak przypadł do gustu kapitanowi, że odkupił go od żołnierza za 10 dolarów. Z małego szczenięcia wyrósł z czasem olbrzymi pies rasy nowofundlandzkiej. Wychowywał się na pokładzie „Windwardu" i był pupilem marynarzy. Gdy statek zawinął do portu macierzystego, kapitan polecił sporządzić dla psa srebrną obrożę, na której umieszczony był następujący napis: „Terry, własność kapitana Bancrofta, Galveston, Texas, USA".

PIES — LOWELAS I WŁÓCZYKIJ

W roku 1922 — Terry liczył wówczas dwa lata — „Windward" znów zawijał do portu w Szanghaju. Kapitan spostrzegł, że pies niespokojnie kręci się po pokładzie. A gdy tylko statek dobił do brzegu, pies dał susa i wyskoczył na ląd. Jego pan niebardzo się tem przejął. Przypuszczał, że pies chce nieco pobiegać po stałym lądzie. Lecz mijały dni, a pies nie zjawiał się. Marynarze zaczęli go poszukiwać. Poszukiwania nie dały żadnego wyniku. Statek musiał ruszyć w dalszą drogę. Kapitan z ciężkiem sercem opuścił Szanghaj.

Po roku „Windward" znów przybył do Szanghaju. Zaledwie statek dobił do brzegu, gdy na pokład jego wskoczył wielki, brudny pies nowofundlandzki. To był Terry. Załoga ucieszyła się niezmiernie i przedewszystkiem nakarmiła go. Gdy Terry najadł się do syta, wykąpano go i wyczesano.

ON CHCIAŁ SIĘ BAWIĆ I UŻYWAĆ

Z Szanghaju statek udał się do meksykańskiego portu Tampico. W czasie, w którym statek stał na kotwicy, pies spędzał czas w mieście. Jak tylko podniesiono żagle i miano wyruszyć w dalszą podróż, Terry — włóczęga wrócił na pokład. Podczas postoju w Vancouverze pies znikł na dwa tygodnie, a w Valparaiso — na cały miesiąc. Zawsze jednak wracał na pokład na czas przed wyruszeniem w dalszą drogę. Najcięższą przeprawę miał z nim kapitan w Hamburgu. Tu „zaopiekował" się psem-„hulaką" hycel, ponieważ Terry nie miał kagańca. Z wielkim trudem udało się kapitanowi odebrać pupilka od hycla.

ROMANSOWY CZWORONÓG

Największą ilość przygód chyba przeżył pies w Australji. Pewnego dnia statek przybył do Sydney. Pies, jak zwykle, wyskoczył na ląd. Gdy statek podniósł żagle i gotował się do wymarszu, pies nie zjawił się. Kapitan był szczerze zmartwiony. Nie wierzył, by jeszcze kiedyś ujrzał ukochane zwierzę.

Dopiero po 4 latach „Windward" po raz drugi zawinął do portu w Sydney. „Tu po raz ostatni widziałem mego Terry" — rzekł ze smutkiem kapitan.

Zaledwie wymówił te słowa, gdy na pokład wskoczył, wychudzony i wynędzniały pies. Rozumie się, że to był Terry. Przez cztery lata wałęsał się po Australji. Co tam robił? — pozostanie na zawsze tajemnicą. Jedno było tylko pewne, że mu się niezbyt świetnie wiodło. I tym razem załoga troskliwie się nim zaopiekowała.

STARY ROZPUSTNIK WRÓCIŁ Z SYNKIEM

W ten sposób niezwykły pies poznał wszystkie pięć części świata. Ostatnią przygodę przeżył Terry w Lizbonie. I tu znikł z pokładu. Kapitan niebardzo się tem przejął. Nauczony doświadczeniem, wiedział, że pies odnajdzie się. Po pewnym czasie statek powtórnie przybył do Lizbony.

Przypuszczenie kapitana okazało się słuszne. Pies rzeczywiście przybył na pokład, za nim posuwał się mały piesek. Był bardzo podobny do Terry i prawdopodobnie był jego synem. Lecz stan Terry był godny pożałowania. Z oczu ciekły mu łzy, ledwie się trzymał na nogach. Kapitan natychmiast zawezwał weterynarza. Ten ustalił, że Terry połknął kamień. Po kilku dniach pies-podróżnik zmarł.

I TAK SIĘ TO RZEWNIE SKOŃCZYŁO

Jego syna kapitan zatrzymał na pokładzie i nazwał go Terry II. Tego psa Bancroft wychowa inaczej. Postara się, by nie był takim ciekawym „badaczem nieznanych krain", jak jego ojciec. Na pamiątkę po pupilku kapitan zawiesił w swej kajucie obrożę Terry I z napisem sentymentalnym.

Edena nazywają apostołem Ligi

LONDYN (PAT) — Minister do spraw Ligi Narodów Anthony, Eden mianowany został ministrem spraw Zagranicznych na miejsce sir Samuela Hoare'a Specjalny resort Ligi Narodów zostaje skasowany. Na decyzję premjera Baldwina wpłynęły głównie następujące 4 względy:

1) Sir Austin Chamberlain, zapytywany przez premjera Baldwina o radę, co do obsadzenia stanowiska ministra spraw zagranicznych, wskazał na Edena, jako najodpowiedniejszego kandydata, najlepiej zaznajomionego z aktualnemi zagadnieniami polityki zagranicznej i najbardziej odpowiadającego oczekiwaniom opinji publicznej wszystkich odcieni.

2) Sir Samuel Hoare w toku audjencji pożegnalnej u króla, zapytywany przez monarchę, kogo pragnąłby widzieć na tem stanowisku, wskazał na Edena, jako najlepiej przygotowanego do prowadzenia spraw polityki zagranicznej W. Brytanji.

3) Nominacja Edena nastręcza najmniej trudności personalnych, bo nie wymaga żadnych zmian, lub przesunięć w gabinecie.

4) Chociaż nominacja Edena nie oznacza w chwili obecnej specjalnego wzmocnienia prestiżu gabinetu, jest to jednakże kandydatura niewątpliwie popularna w szeregach lewicy, a premjerowi Baldwinowi bardzo zależy na niewprowadzeniu niesnasek do opinji publicznej w dziedzinie polityki międzynarodowej. Mając na względzie, że przed W. Brytanją stanąć może wkrótce konieczność powzięcia bardzo doniosłych decyzyj, premjer Baldwin pragnie mieć opinję publiczną za sobą, a nie przeciw sobie.

— Któż, jak nie Eden — mówi Baldwin — minister i apostoł Ligi Narodów, byłby najlepiej predystynowany do przywrócenia zaufania ze strony opinji publicznej co do wierności rządu wobec Ligi Narodów?

Stronnictwo Narodowe zawieszone

na terenie woj. Śląskiego

Z powodu przestępczej działalności, zagrażającej bezpieczeństwu, spokojowi i porządkowi publicznemu, rozwiniętej w ostatnim czasie przez szereg placówek Stronnictwa Narodowego, władze administracyjne zawiesiły w dniu 23 grudnia 1935 r. działalność Stronnictwa Narodowego w Katowicach, Chorzowie, powiecie świętochłowickim oraz w tych miejscowościach na obszarze woj. śląskiego, gdzie z powodu przestępczej działalności placówek Stronnictwa Narodowego zagrożone były spokój i bezpieczeństwo publiczne.

Sześć miljardów lirów dali

patrjotyczni Włosi na wojnę z Abisynją

RZYM (PAT) — Wedle włoskich obliczeń nieoficjalnych zbiórka złotych obrączek ślubnych dała dotychczas 400 miljonów lirów, licząc 15 lirów za gram. Ponadto drogą sprzedaży i zastawu przedmiotów złotych, wpłynęło do banku włoskiego złota na sumę 600 miljonów.

Pomyślnie rozwijają się również operacje konwersyjne w związku z zamierzoną pożyczką 5 proc. Operacje te dać miały dotychczas skarbowi państwa 5 miljardów lirów.

95 matek urodziło 616 dzieci

Rzadka uroczystość u Mussoliniego

RZYM (PAT) — Mussolini przyjął 95 kobiet, wyróżnionych z powodu wielkiej liczby dzieci. Kobiety te, reprezentujące wszystkie prowincje włoskie, przedstawione zostały Mussoliniemu przez prezesa organizacji Opieki nad matką. Kobiety te mają razem 616 dzieci żywych, urodzonych od r. 1925.

Mussolini wygłosił do matek licznego potomstwa przemówienie, poczem matki te złożyły na ręce Mussoliniego swoje złote obrączki ślubne.

Egipt przygotowany do wojny

KAIR (PAT) — Wobec decyzji ministra obrony narodowej o przedłużeniu służby wojskowej rezerwistów do 6 miesięcy, rząd egipski postanowił zatrzymać w szeregach jeszcze sześć miesięcy 4.000 żołnierzy, którzy mieli być zwolnieni z wojska 31 grudnia, po odbyciu pięcioletniej służby. Zarządzenia te są tłumaczone obecną sytuacją międzynarodową.

Tajemnicza śmierć dyplomaty

w drodze do Szanghaju

SZANGHAJ (PAT) — Na pokładzie parowca „Prezydent Mc Kinley" zakończył życie w tajemniczych okolicznościach radca ambasady brytyjskiej w Tokio, Wiggin. Kiedy parowiec przybył do Szanghaju z Hong-Kongu, znaleziono na statku zwłoki Wiggina, który, jak stwierdzono, zginął od kuli rewolwerowej.

Dochodzenia, prowadzone w sprawie śmierci Wigginsa stwierdziły, że został on zastrzelony wkrótce po wyruszeniu parowca „Prezydent Mc Kinley" z Hong - Kongu. Konsulat brytyjski w Szanghaju bierze czynny udział w dochodzeniach.

Czadem zatruli czworo dzieci

PRAGA (PAT) — W jednym z domów w Bardejowie czworo dzieci uległo zaczadzeniu na śmierć. Rodzice, którzy byli nieobecni w domu w czasie wypadku, zostali aresztowani przez policję, która podejrzewa, że wypadek ten był przez nich spowodowany.

Wielka afera szpiegowska w Belgji

PARYŻ (PAT) — Prasa przynosi wiadomości o nowej wielkiej aferze szpiegowskiej, wykrytej ostatnio na terenie Belgji. Władze bezpieczeństwa aresztowały w Liege 4 ...bników, niejakiego Raymunda Tenon, inżyniera chemika Cezarego Mary, fabrykanta mebli Henry Howard'a, agenta ogłoszeniowego, i Rene Defau, pod zarzutem uprawiania szpiegostwa na rzecz Niemiec.

Kilkumiesięczne obserwacje policyjne ustaliły, iż wymienione osoby utrzymywały kontakt z przedstawicielem wywiadu niemieckiego, podającym się za niejakiego dr Traudta z Monachjum.

Wywiad niemiecki starał się za pośrednictwem obecnie aresztowanych uzyskać przedewszystkiem **informacje o stanie artylerji w 3-ej dywizji wojsk belgijskich, dalej szczegóły fabrykacji armat kalibru 120, oraz składu chemic...ego stali, produkowanej przez zakłady przemysłowe w Liege dla budowy schronów.**

Aresztowani zajmowali się również dostarczaniem tajnych wojskowych map belgijskich. Aresztowani komunikowali się z wysłannikiem wywiadu niemieckiego na terenie **Luksemburga.**

Straszna śmierć 12 osób

NOWY JORK (PAT) — W miejscowości Hopwell w stanie Virginji spadł z mostu do rzeki Appomatox autobus wraz z pasażerami. 12 osób utonęło.

4 osoby spłonęły w samochodzie

AKWIZGRAN, (PAT). — Na drodze między Roetgen i Wahlheim samochód osobowy, w którym jechały 4 osoby, zderzył się z autobusem. Przy zderzeniu nastąpił wybuch zbiornika z benzyną w samochodzie osobowym, przyczem wszyscy czterej pasażerowie ponieśli śmierć w płomieniach. Kierowca autobusu, który próbował ratować nieszczęśliwych, uległ ciężkim poparzeniom.

Abisyńskie przygody

Przyjaciel mój, stary, poczciwy Stanisław B., przyszedł do nas, jak zwykle, wieczorem. Już od progu zauważyliśmy, że Stach jest w niecodziennym nastroju.

— Co ci to, Stachu? — wydarzyło się coś?

— Ah, moi kochani, bajeczna historja!

— No, nie intrygujże, nie znęcaj się nad naszą cierpliwością, powiedz wreszcie o co chodzi!

— Słuchajcie: Znacie Michała? Pamiętacie go? Otóż wyjechał chłop trzy miesiące temu do Abisynji. Skusiło go, zawsze miał zajączki we łbie i nie umiał zagrzać miejsca. A to mu za zimno, a to za ciepło, a to zadaleko, a to zablisko. Słowem, machnął się do onej Abisynji.

— I co dalej?

— Zaraz, cierpliwości, kochani! Wyobraźcie sobie, co za zbieg okoliczności! Wczoraj dostaję list z... Radomia od Michała. Przyjechał jak ten Łazarz, bez grosza, a co gorsza chory na febrę. Tak mu się ta Abisynja i afrykańskie przygody udały. Trzeba wysłać chłopu trochę grosza. A z flotą krucho...

— No, i co się stało?

— Stało się, drodzy moi, to, że kiedym medytował nad tem, skąd tu wytrzasnąć flotę, dzwoni telefon. Słucham. Kolektura zawiadamia, że na los, który wziąłem do spółki z Michałem padło 20.000! Jak się wam podoba?

— Brawo! Daj pyska! A co teraz zrobisz?

— Co zrobię? Dobre sobie — flotę w garść i do Michasia!

W dzień kleryk — w nocy bandyta

NOWY JORK, (PAT). — W mieście Rochester (stan Nowy Jork) aresztowano niejakiego Atwodda Allena, kleryka protestanckiego seminarjum duchownego, który się przyznał, że prowadził podwójne życie. W dzień uczęszczał on na wykłady do seminarjum a w nocy trudnił się bandytyzmem i w ostatnich tygodniach dokonał 10 kradzieży z włamaniem.

Ptaki morskie wróżą mrozy

Rybacy w Pucku zaobserwowali ostatnio zjawisko opuszczania brzegów zatoki Puckiej przez dzikie ptactwo morskie. Objaw ten tłumaczy się tem, że ptactwo lokuje się u brzegów otwartego Bałtyku, które nie zamarzają, gdy zatoka pokrywa się lodem. Osobliwa ta „przeprowadzka" świadczyłaby, że należy spodziewać się w najbliższym czasie mrozów.

Felicja Chencinerówna

MIŁOŚĆ NA BEZDROŻACH

Pamiętniki córki warszawskiego miljonera

Felicja. córka znanego warszawskiego kupca Chencinera, poznaje na balu przystojnego młodzieńca Henryka Hartglasa. który robi na niej kolosalne wrażenie.

Młodzi zapałali ku sobie gorącą miłością. Felicja jest córką miljonera i ma otrzymać ogromny posag, natomiast narzeczony jest niezamożny i stawia sobie za punkt honoru zdobycie majątku równego bogactwu Felicji.

Henryk poznaje przypadkowo pewnego konsula zamorskiego państwa. Konsul widząc w nim rzutkiego i przedsiębiorczego człowieka proponuje mu wspólne interesy.

Kupują statek i eksportują alkohol do krajów bałtyckich. Po niezwykłych przygodach na morzu i walce z bandami konkurencyjnemi, które wywożą alkohol nielegalny, Henryk jest już blisko zdobycia upragnionych miljonów. Jeszcze ostatnia podróż poczem syt bogactw i przygód miał pobrać się z Felicją wiedząc, że może śmiało — on miljoner, sięgać po rękę miljonerki. Niestety życie chciało inaczej: Henryk traci statek i pieniądze. Rodzina Felicji zwraca się przeciw narzeczonemu, szczególnie bracia buntują rodziców przeciw Felicji i Henrykowi. Dochodzi do silnej nienawiści, która zatacza coraz większe koła wokół zakochanych.

— CZAS ABYŚCIE SIĘ POBRALI

— mówiła niejednokrotnie moja matka, która widziała, jak cierpię, jak snuję się po mieszkaniu osowiała, przygnębiona, skoro tylko usłyszałam najdrobniejszy sprzeciw otoczenia, że Henryk nie jest dla mnie odpowiednią partją ze względu na jego obecną sytuację materjalną.

Matka, która otaczała mnie najtkliwszą miłością, drżała zawsze o moje szczęście. Nigdy też nie zajmowała stanowiska opozycyjnego. Rozumiała mnie, że kocham Henryka, i że

ŚLUB NA MORZU

który nam dał kapitan statku, pragnę ulegalizować związkiem religijnym, tak, jak tego wymaga życie, które się wiedzie w ludzkiej gromadzie.

Było to w okresie, w którym przeżywałam najmilsze chwile z moją matką. Byłyśmy same. Ojciec był na długiej kuracji zagranicą wskutek zatrucia krwi arszenikiem. Tego rodzaju zatrucia zdarzają się często u ludzi pracujących w przemyśle futrzanym, gdyż pewne rodzaje skór farbowane pod szynszylle zawierają w sobie ten składnik.

HENRYK PRZYJEŻDŻA

Napisałam do Henryka, na prośbę matki, żeby przyjechał z Gdańska.

Henryk, oczywiście, niezwłocznie przyjechał. Spędziliśmy kilka cichych, niefrasobliwych, pełnych harmonji dni u matki, w pensjonacie w Otwocku. Dobrowolne odseparowanie od domu musiało się skończyć. Henryk zamieszkał na Nowym Świecie, a ja naturalnie na Ś-to Jerskiej.

USTALILIŚMY DATĘ ŚLUBU

we trójkę z moją matką. Wszystko z najdrobniejszemi szczegółami było ułożone. Matka z czułością przytuliła mnie do siebie. Obmyślała już w swej dobroci, w jakiej sukni będzie mi najlepiej, w dniu tak uroczystym dla mnie!

Wysiadywaliśmy do późnej nocy na werandzie, słuchając projektów matki, która z drobiazgowością myślała, jak urządzić nam przyszłe mieszkanie, jakie toalety i futra przeznaczyć mi do wyprawy. Zazwyczaj przejmujący chłód nocy zmuszał nas do przerwania „posiedzeń", mimo, że troskliwa ręka matki zarzucała mi na ramiona ciepły sweter, futra.

Wszystko przemawiało za tem, że sprawa przyjmie normalny bieg, że stanę się legalną małżonką Henryka.

Bracia zostali jednocześnie zawiadomieni o postanowieniu matki, że wszystko już umówione, że pozostaje tylko ostateczna formalność załatwienia mojego posagu.

— Owszem wszystko dobrze, ale dlaczego posag? — zaopinjowali.

Zaczęły się skryte narady, jak ominąć tę „formalność".

Bracia nadstawiają ucha, tym wszystkim, którzy mogą powiedzieć coś niekorzystnego o Henryku. Interpretują te wieści w dogodny dla siebie sposób. Buntują, matkę, ojca i decydują:

POSAGU NIE DAMY

Sytuacja stała się rozpaczliwa. Było oczywiste, że pobrać mogliśmy się tylko wtedy, gdy będziemy mieli zapewnioną pomoc materjalną rodziców. Henryk, mimo tak usilnych starań, nie mógł zdobyć tych upragnionych miljonów.

ROBI SIĘ CORAZ GORĘCEJ

Ojciec mój po powrocie do zdrowia nie chciał zająć wyraźnego stanowiska, by swoją decyzją położyć kres pertraktacjom. Niewolniczo słuchał podszeptów braci, którzy z każdym dniem stawali się bardziej nieprzejednani.

Zdenerwowana, skołatana, w przystępie rozpaczy zaczęłam ojcu robić wymówki, które stały się przyczyną, że przestaliśmy ze sobą rozmawiać. Oczywiście nie mogę sobie darować, że powodowana młodością lekkomyślnie sprawiłam ojcu przykrość.

Dziś, gdy jestem dojrzałą kobietą, rozumiem, że nie powinnam była obrażać się na niego.

Szkoda tylko, że nie mógł mnie zrozumieć, że jestem młoda i ambitna i bolało mnie to, że okazywał większą miłość braciom niż mnie.

Sieć nieporozumień coraz bardziej wikłała się wokół nas.

Napróżno czekałam na cud, że rodzina moja ustąpi i będziemy żyli wszyscy zgodnie.

Bracia moi dokuczali nam coraz bardziej, Henryk urażony ich stosunkiem przestał bywać w moim rodzinnym domu.

Od powrotu do Warszawy, zaczęliśmy prowadzić arcyskromne życie. Tak jakoś się wszystko prędko stało. Kilka miesięcy temu byliśmy jeszcze bezmała miljonerami, a teraz nie mogliśmy sobie nawet pozwolić na marne kino.

Malutkie i nędzne mieszkanko na Nowym Świecie było jedynem miejscem, gdzie mogliśmy cicho i spokojnie siedzieć, nie narażając się na ironiczne uwagi i uśmieszki ludzkie.

Całe szczęście, że byliśmy jeszcze młodzi i silni. Można było zaczynać od początku.

Henryk po ostatnich przejściach był ciągle przygnębiony i smutny. Siedzieliśmy nieruchomo całe godziny rozpamiętując szczegóły straty statku.

Pewnego dnia, gdy smutek nasz doszedł do kulminacyjnego punktu, odwiedził nas jakiś tajemniczy osobnik.

— Czy zastałem pana Hartglasa? — zapytał, gdy mu otworzyłam drzwi.

Henryk zaprosił go uprzejmie i zapytał o cel odwiedzin. Nieznajomy poruszył się niespokojnie na krześle.

— Ja tylko do pana mam interes — rzekł patrząc na mnie.

Henryk wzruszył ramionami.

— Pańskie zastrzeżenia są nie na miejscu, ja nie mam tajemnic przed tą panią, jest ona bowiem moją narzeczoną..

Nie przekonało to widocznie nieznajomego, bo przez czas dłuższy wzdragał się wyjawić celu swojej wizyty.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Wkońcu podniosłam się i przeszłam do drugiego pokoju.

Dalszy ciąg po świętach

Świąteczne obyczaje ludowe



Jedno z najuroczyściej obchodzonych świąt — Święta Bożego Narodzenia związane są z mnóstwem zwyczajów ludowych.

Boże Narodzenie święci lud nasz z wielką powagą i dopiero dzień św. Szczepana jest już weselszy, gdyż wtedy dopiero znajomi mogą się odwiedzać. W zwyczajach odprawianych w czasie świąt Bożego Narodzenia mamy wyraźną mieszaninę dawnych słowiańskich obrzędów ku czci słońca w czasie zimowego przesilenia, oraz późniejszych zwyczajów, przyjętych już w czasach chrześcijaństwa.

Podobnie i przy Nowym Roku mamy bardzo wiele zwyczajów, starannie przestrzeganych, gdyż rozstrzygają one o całorocznej pomyślności. Przedewszystkiem więc w dzień ten lud — podobnie zresztą, jak wszyscy — składa sobie nawzajem życzenia. Nieraz osypują się owsem, na znak pożądanej obfitości zboża, przy obchodzeniu domów noszono dawniej owies i na wszystkie rogi stołu sypano po szczypcie, aby tak całe stoły były założone chlebem w nowym roku. W dniu tym dzieci i żacy szkolni prawili niegdyś powinszowania, — zwłaszcza ci, którzy żywili się z łaski poczciwych ludzi. Pod wpływem tych żaków miejskich także dziatwa wioskowa obchodzi chaty i dwory i za życzenia urodzaju dostaje „kolędę". Nieraz chodzą po tej kolędzie chłopcy, przebrani w skórę wilczą, baranią lub niedźwiedzią. Wogóle lud nasz stara się witać Nowy Rok z wesołością, a zwłaszcza chłopcy i dziewczęta płatają sobie nawzajem psoty. Zamazują więc szyby gliną, wciągają na dymnik bronę, drzwi chaty zasłaniają pniem lub zdejmują z zawias wrota i wynoszą na wieś w pole.

Podajemy rycinę niezrównego odtwórcy zanikających zwyczajów i obyczajów polskich Andriollego — przedstawiające ucieszne figle kolędników.

Na małej wokandzie...

Oklaski

(A. E.) Pan Perelberg ma zmysł do interesów. Że zaś interesy się nie udają, to najwidoczniej wina złych czasów.

O kupieckim zmyśle pana Perelberga świadczy chociażby fakt, że wynalazł impresarja, który zgodził się urządzić wielki koncert, z panem Perelbergiem, jako czołowym śpiewakiem.

Nie wiemy, czem przekonał pan Perelberg owego przedsiębiorcę, gdyż głosu nie posiadał. Faktem jest, że reklama zrobiła swoje, i że na zapowiedziany dzień przybyły tłumy publiczności.

Wszystkie bilety wyprzedano. Widownia nabita była ludźmi, a w poczekalni siedziała żona pana Perelberga i z bijącem sercem słuchała odgłosów z sali.

Na estradzie ukazał się impresarjo. Zatarł ręce, obciągnął frak i rzekł:

— Szanowni słuchacze i lube słuchawki!

Za chwilę będzie wystąpił przed wami pan Emanuel Serdelini — niebywały śpiewak z zagranicznej wyspy Majajki.

On specjalnie przyjeżdżał z elektryczną kolejką do Warszawy, ażeby choć jednorazowo zachwycać was ze swoim nadzwyczajnym głosem.

Słuchajcie więc uważnie, bo nieprędko coś podobnego będziecie usłyszeć ponownie!

Taki głos, to się drugi raz nie spotyka! To jest okaz, nie głos; rzadki fenomen! Wybryk natury, można powiedzieć! —

Impresarjo znikł i po chwili kochające ucho pani Perelbergowej pochwyciło śpiew męża.

Zaraz potem rozległy się gwizdy i głośne tupanie, które pani Perelbergowa oceniła, jako wyraz niebywałego zachwytu publiczności.

Gdy zaś następnie zabrzmiały rzęsiste oklaski, a z sali wybiegł zgrzany impresarjo, pani Perelbergowa rzuciła mu się na szyję, wołając:

— Impresarciu mój kochany! Sukces! Sie udało! Czy słyszysz pan tych oklasków?

Impresarjo spojrzał na niewiastę nieprzytomnym wzrokiem.

— Jakich oklasków? — jęknął. — Co za oklasków? To jego po gębie tak klaskają.

*

Sąd Grodzki skazał panów Stanisława Matuszczaka i Izraela Grynwasera na 3 dni aresztu każdego, za zbyt energiczne „oklaskiwanie" śpiewaka.



U FOTOGRAFA

— Chciałabym mieć bardzo dobrą i piękną fotografję.

— Bardzo chętnie. Kogo pani przyśle do pozowania?

Za grzechy matek

Jedna z najpiękniejszych warszawianek, Krysia Alicka, wyszła zamąż za Pawła księcia Runiewicza. Ich noc poślubna przerwana została w sposób równie tragiczny, jak tajemniczy.

Z rozmowy między małżonkami wynikło, że tajemnicze przeżycia nocy poślubnej czynią ich pożycie małżeńskie niemożliwem. Książę poprosił jednak, aby księżna przed wszczęciem kroków o unieważnienie małżeństwa pozwoliła mu na rok wyjechać z kraju. Może jednak po roku zło minie. Książę wyjechał do Ameryki, a księżna do Zakopanego, gdzie nagle ujrzała swego dawnego znajomego Alfreda hr. Laneckiego.

Krystyna i Alfred spotykali się coraz częściej. Zapłonęła między nimi miłość ogromna. Zostali parą kochanków. Krystyna zataiła przed Alfredem, co zaszło w jej noc poślubną. Dała mu wszakże do zrozumienia, że po jakimś czasie będzie mogła zostać jego żoną. Nie przypuszczała bowiem, aby nadzieje męża na pomyślny dlań obrót sprawy mogły się ziścić.

Owocem miłości Alfreda i Krystyny było dziecko. Krystyna starannie ukryła narodzenie się dziecka, oddając je pod opiekę swej dawnej pokojówki, która wyszła zamąż za ogrodnika i mieszkała pod Wilanowem.

Okazało się, że wbrew przewidywaniom Krystyny, książę Paweł wrócił całkowicie odrodzony. Tragiczne przejścia nocy poślubnej już nigdy się nie powtórzą. Pragnął gorąco wznowić ich pożycie, tak nieszczęśliwie przerwane. Wyraził wszakże gotowość, w razie gdyby Krystyna przez ten czas pokochała innego, dobrowolnie usunąć się, popełniając samobójstwo, aby zwrócić jej wolność. Poprosił o odpowiedź.

Krystyna zgodziła się pozostać żoną księcia Pawła, który został szefem wielkiego przedsiębiorstwa przemysłowego i zamieszkał z żoną w Warszawie. W dniu jego imienin odbyło się wielkie przyjęcie. Przybył na nie Alfred hrabia Lanecki, który tymczasem ożenił się z przyjaciółką Krystyny — Zosią Burowską. Ta nieznacznie włożyła do książki księcia jakąś kartkę.

Hr. Lanecki zażądał, aby Krystyna pozwoliła mu obejrzeć ich dziecko — małą Haneczkę. Krystyna wahała się, obawiając się wykrycia tego, ale tak nalegał, że wkońcu pozwoliła mu udać się nazajutrz pod Wilanów, gdzie spotkają się i zaprowadzi go do ogrodnikowej Gerdziakowej, u której bywa co czwartek, odwiedzając swoją córeczkę. O tem wszystkiem dowiedziała się przypadkowo Lanecka i to było właśnie treścią kartki, jaką włożyła do książki księciu Runiewiczowi. Gdy książę to przeczytał, odrzucił anonim z pogardą. Lanecki udał się nazajutrz pod Wilanów. Tam wszakże przyłapała go żona, oświadczając mu, że wie wszystko i że lada chwila zjawi się tu ks. Runiewicz, aby przyłapać żonę. Chciała męża zatrzymać, aby go uchronić od niebezpieczeństwa, on wszakże wyrwał jej się i pobiegł ostrzec Krystynę. Tymczasem Gerdziakowa zwierzała się swej znajomej, Franciszce Baczkowskiej, że jej mąż sprzeniewierzył 400 zł. i grozi mu więzienie, jeżeli nie zwróci tej sumy. Nie mając skądinąd pomocy, chce zwrócić się z tą prośbą do Krystyny, której przybycia właśnie się spodziewa.

Krystyna przyszła i dała owe 400 zł. Magdzie Gerdziakowej. W tej samej chwili niemal wszakże wszedł jej mąż. Krystyna, przerażona, nie wiedziała, jak odpowiedzieć swemu mężowi na jego pytanie, skąd się tu wzięła i co to za dziecko. Uratowały ją Magda i Franciszka. Pierwsza pokazała, że listownie zwróciła się do Krystyny z prośbą o pomoc pieniężną, a druga powiedziała, że Haneczka to jej dziecko. Zabrała Haneczkę do siebie. Gdy odprowadziła ją zpowrotem do Gerdziakowej, przekonała się, że Gerdziakowa umarła ze zmartwienia, bo jej mąż przegrał na wyścigach również owe 400 zł., jakie otrzymała od Krystyny. Wobec tego zatrzymała dziecko u siebie.

Hr. Lanecka także bynajmniej nie miała nieskazitelnej przeszłości. Zanim wyszła za hr. Alfreda miała kochanka Adama Warskiego, z którym miała dziecko. Tenże Warski ożenił się następnie z bogatą wdówką. Akuszerka Mantarska, na jego prośbę upewniła Lanecką, że dziecko urodziło się martwe. Gdy hr. Lanecki przekonał się, że jego żona jest donosicielką, postanowił rozejść się z nią i poświęcić się wychowaniu Haneczki, na co otrzymał zgodę Krystyny. Przekonał się wszakże, że Haneczka zginęła bez śladu. Gdy Krystyna dowiedziała się o tem, rozchorowała się ciężko. Podczas choroby powiedziała mężowi całą prawdę. Przebaczył jej i postanowił dopomóc do odnalezienia Haneczki. Natomiast Zofja Lanecka postanowiła na małej pomścić zdradę męża. Franciszka Baczkowska wychowała Haneczkę, dała jej imię Steni i oddała do pracowni kapeluszy. Szefowa posłała ją kiedyś do sklepu Tarlickich. Syn właścicieli — Gustaw — zakochał się w Steni, prześlicznej już teraz pannie, — od pierwszego wejrzenia.

W Steni zakochał się nietylko Gustaw Tarlicki, ale również brat Oli — Jasio Mantarski.

Po namyśle Ola zdecydowała się jednak porozmawiać z bratem na interesujący go temat. Rzekła więc:

— Dobrze, powiem ci wszystko. Chociażby dlatego, abyś nie czynił ponownych prób. Posłuchaj mnie, Jasiu. Bardzo z ciebie piękny chłopiec. Mówię to nie dlatego, żeś mój brat...

— Och, tylko nie zalewaj kolejki, moja droga, dobrze?

— Wcale tego nie zamierzam. Przeciwnie Chcę ci powiedzieć, że uroda zewnętrzna, to mało. Powinno być także do tego miłe zachowanie się, dobry charakter. Tymczasem ostatnio obracasz się widocznie w jakiemś okropnem towarzystwie, bo mówisz strasznym tonem i sprawujesz się niżej krytyki. Używasz takich słów, że uszy więdną...

— Patrzcie państwo! — zawołał Jasiek w szczerem oburzeniu — tym dziewczynom dopprawdy zaczyna się w głowie przewracać. Dlatego, że szyją kiecki i kapelusze wielkim damom, to już same też chcą niemi być. Chłopiec im równy, już im niedobry. Zachciewa im się Bóg wie kogo...

Ola, niestropiona tem, mówiła dalej:

— Stenia jest bardzo piękna dziewczyna. Przytem ma wrodzony jakiś szyk, wytworność i jest bardzo dobrze wychowana.

— Jak na mnie aż za dobrze...

— Jestem najzupełniej tego samego zdania. Zresztą musisz sobie jedno dobrze uświadomić. Gdyby nawet miał wszystkie możliwe zalety, już i takby ci nic nie pomogło. Spóźniłem się poprostu.

— Co już ma kochanka? — zawołał Jasiek, groźnie zaciskając pięści.

— Nie, ale.. już nie jest wolna..

— Co? Może wychodzi zamąż? O, ja do tego nie dopuszczę...!

— Wątpię, aby się ciebie pytała o pozwolenie. Zresztą, jeszcze nie wychodzi...

Jasiek odetchnął z ulgą. Poczem dodał:

— Więc nawet gdyby tak było, mogłaby mi to wszystko spokojnie powiedzieć, i nie stroić fochów i dąsów. Nie byłoby mi tak przykro.

— Kiedy ona jeszcze sama o tem nie wie..

— Jak to? Co ty wygadujesz?

— To, co słyszysz. I na tem koniec. Więcej ani słowa ci już dodać nie mogę.

Jasiek ciężko dyszał... Odpiął sobie kołnierz, taki był tem wszystkiem przejęty. Zapytał gorączkowo:

— Powiedz mi tylko przynajmniej to jedno... Czy ma narzeczonego, czy nie?

— I tak i nie...

Syknął nienawistnie:

— Widzę, że spiknęłyście się obie przeciw mnie i bujacie mnie na cały regulator! Ale wara wam!... Nie dam się nabić w butelkę takim dwom smarkatkom, jak wy! Teraz ci powiem całą prawdę. Lecę na Steńkę, jak sam djabeł! Wlazła mi już w krew! Słyszysz? I będę ją miał, żeby nawet nie wiem, co! Biada chłystkowi, który stanie między mną a nią! Niech sobie odrazu zamawia łóżko u św. Ducha, tak go oporządzę!... Zobaczysz, będzie u mnie niemożebnie przegrany!... Przez lejek go do trumny będą wlewać...!

I nawet nie żegnając się z siostrą, ani nie dbając o to, że matka śpi, wybiegł z domu, trzaskając drzwiami z całej siły.

Nie minęło dziesięć minut, jak ktoś zlekka zapukał do drzwi. To Stenia, strasznie zaciekawiona, co jej Ola chce powiedzieć, zgłaszała się na wezwanie.

Cichym szeptem, aby nie obudzić matki, Ola opowiedziała jej całą swoją rozmowę z Gustawem, zarazem starannie przemilczając głupie i niedorzeczne groźby brata, do których nie przywiązywała najmniejszej wagi.

Stenia przyjęła to z wielkiem wzruszeniem. Wprost uszom swoim nie wierzyła. Było to aż nadto ponętne. Nie polegała wszakże na tem zbytnio, obawiając się, że ten sen o szczęściu może się zakończyć okrutnem przebudzeniem. Podziękowała więc tylko Oli z całego serca, całując ją czule. Ola zdusiła w sobie głębokie westchnienie, przypominając sobie, jakie szalone snuła marzenia. Z drugiej strony wszakże była zadowolona, że wreszcie powiedziała wszystko i dokładnie spełniła prośbę Gustawa.

Zaraz nazajutrz Ola dopomogła Steni do randki z Guciem. Odciągnęła Zezkę pod pozorem jakiegoś sprawunku. Gucio mógł więc swobodnie wypowiedzieć ukochanej wszystko, co mu przepełniało serce.

Rozkoszne wzruszenie opanowywało Stenię, gdy słuchała tych słów upojnych. Tchnące szczerą i prawdziwą miłością, brzmiały jej w uszach, jak najpiękniejsza muzyka...

Jej śliczna twarzyczka promieniała szczęściem. Jej oczy o przeczystym błękicie polskiego nieba spoglądały z bezgraniczną wdzięcznością na chłopca, którego słowa uchylały jej wrota raju...

Miłość rodzi miłość. Stenia nie odezwała się ani słowem. Lecz jej spojrzenia były wymowniejsze, niż wszystko. Zrozumiał, że nie jest obojętny swej wymarzonej. Burzyło mu to krew radośnie.

Wtem przemówił w obojgu jednak głos rozsądku. Odezwał się pierwszy u Steni. Rzekła:

— Jestem szczęśliwa i dumna, że zdołałam wzbudzić w panu tak piękne uczucie. Jestem wolna i... zgadzam się. Ale... czy pan również jest wolny, nieskrępowany?

— A któżby mnie mógł czemkolwiek krępować? — zapytał Gucio z płomiennym zapałem.

— Ja... jestem sierotą. Nie zależę od nikogo... Moja ciotka, która mnie wychowała, z pewnością nie przeciwstawi się memu nieoczekiwanemu szczęściu. Ale pan...? Pan ma rodzinę... Czy zdoła pan uzyskać jej zgodę?

— Uzyskam z pewnością — rzekł stanowczo Gucio.

Stenia potrząsnęła głową. Zapytała:

— Myśli pan, że się zgodzą na pański ślub z biedną dziewczyną?

— O, gdy tylko panią ujrzą, to z pewnością! To, że pani pracuje, tylko dobrze o pani świadczy. Rodzice moi umieją to ocenić. Ojciec mój dorobił się wszystkiego ciężką pracą własnych rąk.

— A jednak drżę na samą myśl o trudnościach, z jakiemi się spotkamy.

— Przezwyciężę je wszystkie, panno Steniu i przysięgam, że pani będzie moją żoną, umiłowaną, poślubioną..

Stenia próbowała jeszcze przekonywać go, że zamożni kupcy, którzy się dorobili, starają się wspinać jeszcze wyżej przez małżeństwa swoich dzieci. Miała więc nadal poważne obawy.

Gucio ponownie zawołał z zapałem:

— Niech pani polega na mnie! Proszę mi ufać! Nasze wspólne pragnienia spełnią się z pewnością!

Nato Stenia odrzekła mu wszakże coś bardzo poważnego... Coś, co rzeczywiście postawiło ich szczęście pod znakiem zapytania...

— Niech pan działa bardzo ostrożnie, panie Guciu! Zarazem zaś zaklinam pana, aby pan niczem nie zraził swych rodziców, których dziś już, nawet nie znając, szanuję, jak swoich własnych. I zapewniam pana zgóry, że bez ich zgody, nie będzie równie i mojej...

— Nie podzielam obaw pani. Matka już nieraz mi mówiła, że pozostawi mi, całkowicie wolny wybór, gdy zechcę się ożenić.

— A ojciec?

— Już pani powiedziałem, że też pochodzi z ludu. Więc chyba nie będzie stawiał sprawy nierówności...

— Kto wie? Różnica majątkowa bywa niekiedy poważniejsza, niż wszystkie inne. A jest taka wielka... — rzekła ze smutkiem Stenia.

— Miłość wyrównywa wszystko, Steniusiu — odparł Gustaw z zapałem — ale przedewszystkiem muszę poprosić ciotkę pani, jako opiekunkę, o rękę mojej umiłowanej. Kiedy chciałaby pani zaprosić mnie do siebie w tej sprawie?

— Może najlepiej w niedzielę? Do tego czasu już powiem ciotce wszystko... Przygotuję ją do tego.

Tak też już się umówiono.

Gdy zakochani spotkali się nazajutrz, Stenia rzekła:

— Niestety, odwiedziny niedzielne u nas nie będą mogły dojść do skutku.

— Dlaczego? — zapytał Gucio przerażony.

— Ciocia musi wyjechać do swej siostry, starszej już pani, która nagle niebezpiecznie zasłabła. Dostała depeszę, wzywającą ją wraz z synem do natychmiastowego przybycia. Wyjeżdża więc i nie wróci chyba wcześniej, niż za jakie cztery-pięć dni.

— Ha, trudno... Poczekamy — rzekł Gustaw.

Stenia dodała:

— Ciocia życzyła sobie, żebym ja też pojechała, ale szefowa nie chciała mi dać urlopu.

— Ach, więc zostaje pani zupełnie sama?

— Więc cóż z tego? Czy pan myśli, że nie dam sobie rady sama przez kilka dni? Ma mnie pan za taką niedołęgę? Zresztą, niech pan się nie obawia. Ciocia poprosiła jedną z naszych sąsiadek, matkę Oli, aby zechciała zaopiekować się mną przez ten czas, a Ola nawet będzie sypiała ze mną razem u nas.

— Nie pozostaje mi nic innego, jak uzbroić się w cierpliwość i odłożyć tę zamierzoną wizytę u cioci pani o owe parę dni.

Stenia jednak zasmuciła się...

Gucio to zauważył i rzekł z przekonywującą tkliwością:

— Skoro pani będzie sama, więc w niedzielę, zapewne, będzie pani się nudziła?

— Tak... A bo co?

— Miałbym do pani wielką prośbę. Gdyby pani mi nie odmówiła, byłbym bardzo, bardzo szczęśliwy.

Stenia spojrzała na Gucia swemi pięknemi oczyma. Zupełnie nie wiedziała, o co ją chce prosić. W każdym razie zgóry była przekonana, że o nic takiego, coby mogło wywołać rumieniec na jej ślicznej twarzyczce.

Ponieważ jego spojrzenie nieco ją stropiło, zapytała więc:

— Cóż to za prośba?

— Czyby pani nie zechciała spędzić ze mną nadchodzącej niedzieli?

— Jakto? Jak pan to sobie wyobraża? — zapytała ze zdumieniem.

— Pojechalibyśmy sobie gdzie za miasto.. Aby odetchnąć świeżem powietrzem, napawać się wiosną, majem i... sobą...

Stenia spiekła raka. Taki rumieniec zalał jej twarz, że nawet nie wiedziała, co nato odpowiedzieć.

Gucio postanowił dodać jej otuchy, mówiąc:

— Czyżby pani się czegokolwiek obawiała? Chyba nie? Zresztą, to nawet najzupełniej wypada, skoro nazajutrz po przybyciu pani Baczkowskiej poproszę ją o rękę pani...

Stenia wybełkotała:

— Panie Gustawie... Zaproszenie pańskie mnie straszliwie zaskoczyło. Spodziewałabym się raczej wszystkiego, tylko nie tego. Nie wiem, doprawdy, czy mogę przyjąć tę propozycję. Chyba raczej... nie...

Gustaw zbladł... spochmurniał... Nie liczył na odmowę..

Dalszy ciąg po świętach.

RADJO

WTOREK

6.30 Pieśń „Najświętsza Panno". 6.33 Pobudka 6.34 Gimnestyka. 6.50 Muzyka polska. 11.57 Sygnał czasu. 12.00 Hejnał. 12.15 „Nie przeszkadzać". 12,30 Muzyka. 13,25 „Dzień wigilijny" 15.00 Koncert. 16.00 Słuchowisko. 16.15 „Polska śpiewa". 16.30 „Pastorałki". 17.00 „Wigilja na Sowińcu". 17.15 „Najpiękniejszy wieczór". 17,45 „Kolendy. 18,15 „Wigilja Potyrały". 18,50 „Wieczór wigilijny". 19,40 Koncert. 20,25 Recital fortepianowy. 21.00 „Pójdźmy wszyscy do Betlejem". 21.40 „Audycja wigilijna". 22,10 „W noc wigilijną". 22.30 „Święta w rodzinie". 23.00 Muzyka salonowa. 24.00 Pasterka z Kaplicy Matki Boskiej Ostrobramskiej (z Wilna).

WIECZÓR WIGILIJNY — DICKENSA W TEATRZE WYOBRAŹNI

Dnia 24 grudnia o godz 18.50 Teatr Wyobraźni przypomni radjosłuchaczom słuchowisko p. t. „Wieczór wigilijny". oparte na wzruszającej opowieści Karola Dickensa. Prostota i rzewność płynąca z tego utworu, i jego bajkowy, troche wzruszający happy-end budzić muszą w każdem sercu uczucie tkliwości i współczucia dla tych wszystkich, którzy w dniu wigilijnym są smutni i biedni i sami. Postacie bohaterów w słuchowisku odtworzą między innemi: Jan Bonecki, Franciszek Dominiak, Helena Buczyńska.

ŚRODA

(Pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia)

9.00 Sygnał czasu. 9.00 Kolendy ze wszystkich rozgłośni. 10.00 Nabożeństwo z Poznania. 11.57 Sygnał czasu. 12.00 Hejnał. 12.03 Koncert. 13,00 „Wigilja wojewody". 13,35 Koncert chóru Dana. 14.15 Muzyka lekka. 15.— „Na wsi za sto lat". 16.00 „Godzina życzeń". 17.00 Muzyka taneczna. 18.00 „Historja pierwszej choinki". 18,30 „Kolendy z całego świata". 20.00 Audycja żołnierska. 20.30 Recital śpiewaczy. 21.00 Koncert Chopina. 21,35 „Gwiazdy nad Saharą". 21.50 Muzyka taneczna. 23.00 Muzyka taneczna.

DZWONY Z BETLEEMU NA POLSKIEJ FALI

W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia Polskie Radjo nada audycję, która pozwoli przeżyć radjosłuchaczom chwilę głębokiego wzruszenia. Będą to dźwięki Dzwonów z Betleemu. Polskie Radjo nagra te audycję na Stilla, transmitując ją z Londynu, i w odpowiedniej godzinie nada w swym programie dnia 25 b. m. Godzina ta będzie zapowiedziana przez mikrofon.

CHÓR DANA ŚPIEWA PIOSENKI

Miłą atrakcją świąteczną dla radjosłuchaczów będzie występ popularnego i serdecznie lubianego Chóru Dana. Zespół ten, jak wszyscy już wiedzą, święci ostatnio niebywałe triumfy na estradach i w rozgłośniach zagranicznych. Dnia 25 b. m. o godz. 13,35 Chór Dana śpiewać będzie przed mikrofonem warszawskim swoje nowe, najnowsze i

CZWARTEK

(Drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia)

9.00 Sygnał czasu. 9.03 Muzyka. 10.00 „Gwiazdka na Kaszubach". 10,30 Nabożeństwo z Kościoła św. Krzyża w Warszawie. 11.57 Sygnał czasu. 12.00 Hejnał. 12,15 Koncert solistów. 13.00 Słuchowisko „Cyd". 13,20 Melodje i tańce. 14.00 „Na szóstem". 14,20 Muzyka lekka. 15.00 Słuchowisko: „Drewniaczki — Chodaczki". 15.30 „Migawki regjonalne". 16.30 Koncert Trio. 16.35 „Poezja Bożego Narodzenia". 17.10 „Moja pieszczotka". 17.55 Muzyka taneczna. 19,10 Dzieci śpiewają kolendy. 20.00 „Niewydane utwory A. Michałowskiego.

„MOJA PIESZCZOTKA" PARODJA MUZYCZNA PRZEZ RADJO

W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia o godz. 17.10 nadana zostanie audycja słowno-muzyczna. Będzie to temat z „warjacjami". Komiczna parodja muzyczna „Moja pieszczotka" przedstawi słuchaczom szereg interpretacyj tej prostej piosenki. Znajdą tam słuchacze i operę i komedję, i tragedję, naturalnie tragedję pozbawioną cech autentycznie tragicznych. Audycję opracował Tadeusz Sygietyński.

Co dadzą robotnikowi Izby Pracy

Będą regulatorem warunków płac i pracy, podniosą oświatę

Kilkakrotnie już z ust kierownika rządu i jego zastępcy, słyszeliśmy zapowiedzi zrealizowania jednego z najistotniejszych postulatów świata pracy, a mianowicie powołania Izb Pracy. Ostatnio, z racji otwarcia dyskusji budżetowej, min. Kwiatkowski powiedział, że rząd złoży Sejmowi projekt odpowiedniej ustawy.

Zapowiedź, względnie konkretna, ale ciągle jeszcze zapowiedź, a nam wydaje się, że Izby Pracy są w tej chwili już koniecznością. W zaczątkach naszej Niepodległości rozbudowaliśmy system ubezpieczeń społecznych. Od lat cofamy się na tym odcinku wstecz. Nie dlatego, żeby instytucje te okazały się złe, albo gospodarka była fatalna. Wiele innych rzeczy składa się na ten stan. Znamy je wszyscy, więc nie będziemy tego szczegółowo analizowali. Trzebaby tylko przy okazji zaznaczyć, że nasz system ubezpieczeniowy bynajmniej nie był tak rozbudowany, jak nam wmawiają ci wszyscy, którzy pragnęliby, by znikł bezpowrotnie. Gdyby tak było, nie trzebaby np. dopiero po wielu latach stwarzać ubezpieczeń emerytalnych dla robotników, lub zakładu ubezpieczeń pracowników umysłowych.

POKRZYWDZONE ORGANIZACJE ROBOTNICZE

Nasz nowy ustrój jest tego typu, że organizacje zawodowe, względnie samorządy, odgrywają dużą rolę, i to nawet ściśle polityczną. Wiemy przecież, że wspomniane instytucje biorą udział w wyborach kandydatów na posłów, czyli mają wpływ na skład Sejmu. Dalej, że do Senatu wchodzą ludzie właśnie jako reprezentanci zrzeszeń gospodarczych, czy społecznych. W tych warunkach, nawet ściśle politycznie rzecz biorąc, świat pracy ma obecnie mniej możliwości, aniżeli np. przemysł, handel, czy rękodzieło. Wiemy bowiem, że istnieją Izby Przemysłowo - Handlowe i Rzemieślnicze, czy też Rolnicze, które skupiają wszystkich (przynależność jest przymusowa) wykonujących dany zawód.

NIE O POLITYKĘ IDZIE, LECZ O OBRONĘ INTERESÓW

Ale nie chodzi tutaj o politykę, ale o obronę interesów zawodowych. Wspomniane reprezentacje samorządu gospodarczego mają możność porozumienia się w sprawach ich tyczących z odpowiednimi przedstawicielami rządu, powoływane są do opinjowania poszczególnych projektów ustaw, rozporządzeń, wpływają na posunięcia rządu, który zasięga, względnie zna ich opinje. Rząd ma do czynienia z opinją zorganizowaną. Izba Przemysłowo - Handlowa np. nie reprezentuje jakiegoś kupca branżowego, dla którego, powiedzmy, przywóz jakiegoś artykułu jest niepożądany, ale ogół interesów przemysłu i handlu.

Zanim Izba wystąpi z postulatem, sprawa została dokładnie wewnątrz organizacji zbadana, wypróbowana i t. p. Specjalnie podkreślamy ten fakt na wypadek, gdyby ktoś powiedział, że rząd w pewnych sprawach i teraz może zasięgać opinji, powiedzmy, organizacyj zawodowych świata pracy. Oczywiście, takie wypadki się zdarzały, ale przecież naprzeciw jednego przedstawiciela rządu, zasiadło kilkunastu przedstawicieli świata pracy, którzy nie zdołali uzgodnić swoich stanowisk, nie zdołali znaleźć wspólnego języka. Przecież spotykamy się z temi faktami niemal przy każdej konferencji, nawet z przedstawicielami pracodawców, kiedy chodzi o takie rzeczy, jak ustalenie nowych warunków pracy.

Ten stan zmienić mogą tylko Izby Pracy. Zasiądą w nich przedstawiciele zorganizowanego świata pracy. Wspólna praca przyczyni się do wzajemnego zbliżenia się, do łatwiejszego porozumienia się. Radcowie będą mogli bliżej poznać się z każdą sprawą, gruntownie ją przepracować. Nad rokowaniami nie będzie wisiał topór w postaci krótkiego terminu, który zmusza do ostrego, skrajnego stawiania zagadnienia.

CHAOS „SKLEPICZKÓW" TRZEBA USUNĄĆ

Izby Pracy przyczynią się również do oczyszczenia życia organizacyjnego świata pracy. Dziś na „rynku" organizacyj zawodowych panuje niepodzielnie chaos. Z jednej strony jest stanowczo za wiele związków, które nie są w stanie wylegitymować się odpowiedzialną pracą i akcją, z drugiej strony masy robotników znajdują się poza szeregami organizacyj zawodowych, gdyż te nie są w stanie odpowiednio bronić ich interesów.

Nie chcemy przez to powiedzieć, że Izby Pracy uczynią zbędne istnienie związków zawodowych i powinny spowodować ich zlikwidowanie. Wręcz przeciwnie, związki zawodowe winny i muszą pozostać, gdyż stanowić mają podstawę Izb Pracy. Uważamy, że istnienie Izb Pracy usunie przerosty, istniejące na tym odcinku, podobnie, jak na innych odcinkach życia publicznego. Znikną więc różne związeczki, które nikomu, poza jakimiś „działaczami", nie są potrzebne. Natomiast wciągnięte zostaną masy, które dziś unikają związków, gdyż tkwią w przymusowej bezczynności.

W CZTERY OCZY

Intymne rozmowy Iksa z Czytelnikami

Zdradzony nie domyślił się...

Z rubryki „W cztery oczy" korzystać mogą bezpłatnie wszyscy Czytelnicy, nadsyłający listy do Redakcji z dopiskiem na kopercie: „W cztery oczy".

„Zrozpaczona" tak się nam spowiada ze swej niedoli:

Mając lat 16, wyszłam zamąż. Poznałam człowieka, który się we mnie zakochał i postanowił się ze mną ożenić. Będąc bardzo młodą, nie rozumiałam, co znaczy miłość, i dałam mu słowo, że się zgadzam. I może byłabym szczęśliwa, żeby nie jego kolega, którego poznałam przed ślubem i zobaczyłam w nim wszystko.

Nie powiedziałem nic o swej wielkiej miłości, która się zrodziła odrazu. Zdawało mi się, że on nie zwraca na mnie uwagi. Wbrew własnej woli wyszłam zamąż za pierwszego.

Pożycie nasze było bardzo dobre przez kilka lat. Przyzwyczaiłam się (mąż mój jest bardzo dobrym człowiekiem), Pewnego dnia przyszedł do nas „on". Był jeszcze kawalerem. W jednej chwili załamało się we mnie wszystko. Dzięki silnej woli, nie dałam nic poznać po sobie. Zaczął przychodzić do nas często, szukając okazji rozmówienia się ze mną. Przyszła ta chwila. Powiedział, że mnie kocha od pierwszego spotkania. Nie chcąc burzyć szczęścia swego serdecznego kolegi, odszedł, pozostawiając wszystko czasowi. Myślał, że zapomni. Stało się inaczej.

Myśl, że złamał sam sobie życie, nie dawała mu spokoju. Przy najmniejszej okazji widzenia się ze mną mówił o swej głębokiej i wielkiej miłości. Choć serce moje rwało się do niego i każde jego słowo było mojem życiem, to jednak, będąc żoną innego, opanowałam się. Odpowiedziałam, że należeć do niego nie mogę. Życie moje stało się pasmem cierpień. Po jakimś czasie ożenił się. Zaczęli bywać u nas oboje i zabierać do siebie. W wirze zabaw i różnych rozrywek przy pierwszej lepszej okazji obcowania z nim powtarzał mi swoją miłość. Mając żonę i dzieci, nie zważał na nic. Zaklinał się, że życie dla niego jest niczem.

Długo walczyłam ze sobą. Wkońcu uległam. Wtedy otworzył się dla mnie świat. Monotonne, szare moje życie rozjaśniło się. Szczęścia mego nie umiem opisać. Dla męża byłam bardzo dobra. Zdradzany i oszukiwany — niczego się nie domyślał.

Jednak to wielkie szczęście nie trwało długo. Po kilku latach zaczął mi robić wymówki, że ja powinnam należeć tylko do niego. Głupia zazdrość doprowadzała do częstych nieporozumień. Zwracał mi często uwagi w towarzystwie. Gdy ktokolwiek ze mną rozmawiał, ten w jego pojęciu już był moim kochankiem. Zaczął mi robić wstręty, nie spotykał się ze mną po miesiącu i nawet po kilka miesięcy. Ale miłość moja do niego nie osłabła. Kocham go może więcej, choć on tak ze mną postępuje.

Jak strasznie cierpię, nie umiem opisać. Proszę Cię, Redaktorze, bądź sędzią i osądź sprawiedliwie. Ja się do winy nie poczuwam. Muszę Ci powiedzieć, że padła kosa na kamień. Ambicja tu gra rolę. Ja nie chcę się poniżyć, choć cierpię bardzo. Nerwy moje są tak stargane, że choroby mają pole do działania, to też prawie, że stale leżę w łóżku. Nie mogę zrozumieć, czy on też ma tę ambicję. Przecież, jako mężczyźnie, wszystko mu wypada. Nie powinien się gniewać, bo nie ma o co. Może mnie już nie kocha?"

Rada nato taka:

W tym celu — porzucić „ambicję", nie czekać nato, że mężczyźnie bardziej „wypada", bo to tylko ubliżające kobiecie zawracanie głowy. Gdy się kocha prawdziwie, to wszystko „wypada". Porozmawiać z ukochanym, postawić sprawę jasno. „Jeżeli mnie kochasz", powiedzieć, „to mnie będziesz kochał taką, jaka jestem, a jak nie — więc powiedz to otwarcie". Gdyby się okazało, że nie — szukać ukojenia we własnem małżeństwie, które jest i pozostanie najbardziej niezawodnym schronem przed burzami życiowemi.

Feluś Szpadrynka i ferajna

Świąteczny monolog „cwaniaka wolskiego"

Przykro nam wczoraj było, że to niby święta idą, każdy jeden ma jakies rodzine, z którą sie dzwonkiem śledzia we wiegilje podzielic może, tylko my jedne sirotamy samotnemy na tem świecie sie zostalim, co to ani domu, ani wołu, ani osła, ani jenszej żony własnej nie mają.

Ale najwięcej to sie nad Wickowo dolo spłakalim, bo to i żone niby ma i tesciowe, ale o wieleby do niech na te wiegilje chociaż sprobował wdepnąc, toby najwyżej kopniaka zarobił i przykre słowo usłyszał.

Płaczem, znakiem tego „Pod flondro" i te załość wielkie w szpirytusie z temy łzamy gorzkiemy zmieszanem, topiem, aż sie właścicielka „Flondry" wzruszyła, do nasz sie przysiadła, łzy fartuchem rodzonem nam obciera, do bujnej piersi swojej nasz tuli i pociesza:

— Nie płaczcie, siroty moje kochane, kuropatewki wy bidne, bo mie sie serce zę żalu w plasterki kraje. Ja także samo sirotą samotną na święta zostałam, jako że mężowi morde na perłowo obkułam, że do Nowego Roku będzie w „Łazarzu" leżał. Razem, znakiem tego świętować i przy choincę skakać będziem!

Pocieszylim sie kapkie, że przytulisko świąteczne już mamy, tak przygotowania do wiegilji zaczynamy uskuteczniać. Połowe gości na zbite twarz grzecznie z gastronomji wyprosilim; ja sie za szykowanie krupniku świątecznego wziąłem, a ferajna po choinkie poleciała.

Faktycznie za pare pięć minut Hipek odpowiedzialne drzewko przytargał, ale w tem samem momencie glinoszczak z poszkodowanem choinkarzem sie przykleił, że niby dane drzewko Hipek z placu zgrandził. Ale sie pokazało, że on tylko zapłacić zapomniał, no i mu jakoś darowali, ale choinkie zabrali.

Zato Wicek sie postarał i pirsza klasa drzewko przyzolował, tylko, że toto więcej do brzózki zmarzlej, prosto ze skwerka z korzeniamy wyrwanej, podobne było, niż do przepisowej choinki. Ale jak ferajna orzekła, że to choinka, no to choinka i szlus!

Zaczęlim kompinować, czem by tu ją przystroić. Cacków z dziurkamy trzy sztuki wszystkiego sie znalazło; cukierki znowuż to dla małoletnich pętaków są dobre, a dla starech chłopów to już lepiej pasuje pare flach z kolorowemy wódkamy, serdelków i jenszych kanapków nawieszać.

Ustroilim znakiem tego całe drzewinkie w artekuła gastronomiczne, pare śledziów za ogony na samem froncie także samo powiesilim, żeby zagrycha postna pod ręką na wiegilijne fryganie była i poszlim na powietrze troche śniegu sztucznego skompinować.

Wracamy i patrzem co sie wyrabia do wielkiej frybry: za choinką przy samem czubku kalikatura zachlana jakowaś siedzi i serdelek choinkowy wchmula.

— O wiele mie wzrok nie myli, to lach jakowyś na choinkie sie wtranżolił i w dodatku post przez opychanie serdelków gwałci. Panie ładny, szoruj pan stamtąd, bo sztuknę! — mówię.

Ale ten sie śmieje i powieda, że ponieważ aniołka na choince nima, znakiem tego on sie za aniołka chce zostać.

— Na djabełka, albo kajdaniarza, łachudro jedna wygląd masz, nie na aniołka. Fruwaj aniołku w ząbek czesany, bo meblem w cyferblat zaprawie! A sio z choinki! — i na postrach widelcem w oko go poczęstowałem.

To on śledzia zerwał i buchnie mie w łeb — ale ja jeszcze nic. Wreście jak mie najładniejsze cacko z choinki na obliczu rozchromolił, krew mie nagła zalała. Nie wytrzymałem dłużej i jak nie złapię pieczonego prosiaka z lady, jak nie rąbnę go w ciemię! Kwiknął tylko i fik na zbite morde na ziemi wybitech trzonowech przedniech szukać. W obronie za niem ujęło się paru knajaków i do nasz!

Rozdenerwowałem sie do reszty, na ferajne mrygłem, choinkie za podsławkie ująłem i dawaj wymiatać pętaków z przybytku pocieszenia

Ferajna meblamy trochie mie pomogła i w trymigi wymietlim wsiech na świży luft.

Ale przytem podrapalim sie samy też i musielim do Chorej Kasy po bandaże ganiać. Przykro mie z początku było, że choinkie szlag trafił, bo sie gałązki całkiem połamali, ale właściwie, że niech nasz pocieszyli, że nie mamy się czego martwić bo nam zaproszenia na choinkie do mamra przysła.

KRONIKA KRAKOWA

Ujęcie bestjalskiego mordercy z ulicy Szerokiej

W toku dochodzeń w sprawie morderstwa dokonanego dnia 20 bm. na osobie 56-letniej dozorczyni domu przy ul. Szerokiej 6 Annie Burzowej, organa śledcze Wydziału P. P. pod energicznem kierownictwem naczelnika Polaka ustaliły, że sprawcą morderstwa jest nieślubny syn zamordowanej 22-letni Andrzej Czornyj, z zawodu stolarz.

W wyniku pościgu za Czornyjem organa policyjne z Krakowa, delegowane w tym celu do Katowic, — aresztowały go wczoraj nad ranem w jednej ze stodół w Brynowie pod Katowicami, gdzie ukrywał się wśród kilkunastu innych włóczęgów.

Czornyj w chwili aresztowania miał na sobie płaszcz i koszulę, skradzione na szkodę ojczyma Burzy.

Po przedstawieniu dowodów winy, Czornyj przyznał się do morderstwa matki oraz do kradzieży garderoby matki i ojczyma. Swój czyn tłumaczy złem obchodzeniem się matki z nim i wypędzeniem go z domu.

W krytycznym dniu przedpołudniem przyszedł Czornyj do matki i gdy ta zabroniła mu się więcej pokazywać w domu, rzucił się na nią, powalił na łóżko i udusił. Po morderstwie zabrał część garderoby matki i ojczyma i zbiegł.

Tłumaczeniu Czornyja jednakowoż nie można dać wiary, gdyż jak śledztwo stwierdziło, nosił się on już przedtem z zamiarem usunięcia matki.

Skradzione przedmioty sprzedał Czornyj bezpośrednio po zabójstwie na tandecie za kilkadziesiąt złotych kilku osobom, które obecnie ujawnił.

W interesie tych osób leży bezzwłocznie zwrócić do rąk policji zakupioną u Czornyja garderobę.

Skazanie księdza

za znieważenie rządu

W sądzie grodzkim w Krynicy odbyła się sprawa ks. Marjana Wiśniewskiego o zniesławienie rządu.

Sąd wydał wyrok skazujący ks. Marjana Wiśniewskiego na 1 miesiąc aresztu z zawieszeniem kary na 2 lata.

Napad na listonosza

w Krakowie

Wczoraj przedpołudniem, gdy wóz pocztowy z paczkami zajechał na ul. Szczepańską, jakiś osobnik napadł na listonosza tego wozu, przewrócił go, wyrwał mu paczkę i począł uciekać.

Przechodnie puścili się w pościg za nim i ujęli go. Jak się okazało rabusiem tym był Władysław Gwiazdoń, który przed kilku dniami uzyskał urlop zdrowotny z więzienia w Krakowie.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Kraków, ul. Gródek 2. — Telefon 173-02. — Redaktor przyjmuje od godz. 16—17-tej.
CENY OGŁOSZEŃ: w Kronice krakowskiej 1. wiersz mm. 1 zł. — Drobne 30 groszy za wyraz. — Poszukiwania pracy 10 groszy za wyraz.
Odpowiedzialny redaktor i wydawca: Alfred Kwiatkowski. Drukarnia „Monopol" Kraków. Na Gródku 2. Tel. 173-02.